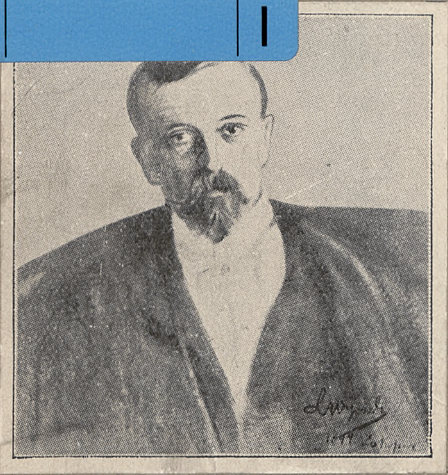
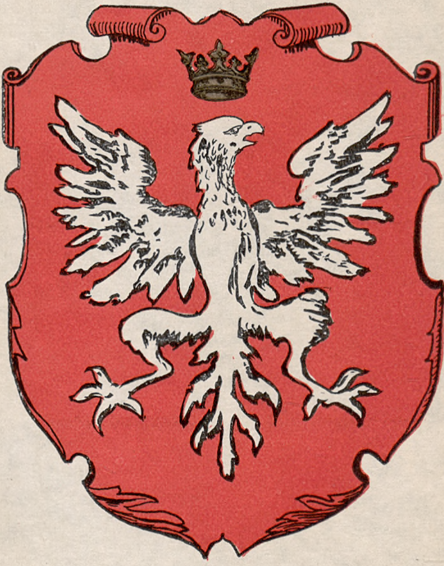
Henryk Sienkiewicz



POTOP

XIII



Szymon St. Deptuła

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

WYDANIE Z OBJAŚNIENIAMI I MAPAMI

TOM XIII

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
19 3 6

NAKŁAD I WŁASNOSć
ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WE LWOWIE

15/1936
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

ROZDZIAŁ I.

W tydzień później przedostał się pan Kmicic w granice Prus elektorskich pod Rajgrodem. Przyszło mu to dość łatwo, gdyż przed samem odejściem pana hetmana polnego zapad! w lasy tak skrycie, iż Duglas był pewien, że i jego wataha pociągnęła razem z całą dywizją tatarsko-litewską pod Warszawę, i małe tylko załogi po zameczkach do obrony tych stron zostawił.

Duglas odszedł także wślad za Gosiewskim, z nim i Radziejowski i Radziwiłł.

Kmicic dowiedział się o tem jeszcze przed przejściem granicy i zgryzł się srodze, że nie będzie się mógł oko w oko ze swym śmiertelnym wrogiem spotkać, i że kara może Bogusława dojść z innych rąk, mianowicie z rąk pana Wołodyjowskiego, który także przeciw niemu ślubował.

Zaczem, nie mogąc wywrzeć zemsty za krzywdy Rzeczypospolitej i swoje na osobie zdrajcy, wywarł ją w straszliwy sposób na posiadłościach elektorskich.

Tej samej nocy jeszcze, w której Tatarzy minęli słup graniczny, niebo zaczerwieniło się

łunami, rozległy się wrzaski i płacz ludzi, deptanych stopą wojny. Kto polską mową o litość umiał prosić, ten z rozkazu wodza był oszczędzany; ale natomiast niemieckie osady, koloruje, wsie i miasteczka zmieniały się w rzekę ognia, a przerażony mieszkaniec szedł pod nóż.

I nie tak prędko oliwa rozlewa się po morzu, gdy ją żeglarze dla uspokojenia fal wyleją, jak rozlał się ów czambuł Tatarów i wolentarzy po spokojnych i ubezpieczonych dotąd stronach. Zdawało się, iż każdy Tatar umiał się dwoić i troić, być naraz w kilku miejscach, palić, ścinać. Nie oszczędzano nawet łanów zbożowych, nawet drzew w sadach.

Tyle przecież czasu trzymał pan Kmicic na smyczy swych Tatarów, że wreszcie, gdy ich puścił nakształt stada drapieżnych ptaków, prawie zapamiętali się wśród rzezi i zniszczenia. Jeden przesadzał się nad drugiego, a że jasyru brać nie mogli, więc pławili się od rana do wieczora we krwi ludzkiej.

Sam pan Kmicic, mający w sercu niemało dzikości, dał jej folgę zupełną, i choć własnych rąk we krwi bezbronnych nie walał, przecie patrzył z zadowoleniem na płynącą. Na duszy zasię był spokojny i sumienie nic mu nie wyrzucało, bo była to krew niepolska i w dodatku heretycka, więc nawet sądził, że miłą rzecz Bogu, a zwłaszcza Świętym Pańskim czyni.

Przecie elektor, lennik, zatem sługa Rzeczypospolitej, z dobrodziejstw jej żyjący, pierwszy podniósł świętokradzką rękę na swą królową i panią, — więc należała mu się kara, więc pan Kmicic był tylko narzędziem gniewu Bożego.

Dlatego co wieczora spokojnie odmawiał różaniec przy blasku płonących osad niemieckich, a gdy krzyki mordowanych zmyliły mu rachunek, tedy zaczynał od początku, aby duszy grzechem niedbalstwa w służbie Bożej nie obciążyć.

Nie same jednak okrutne uczucia w sercu hodował, bo, oprócz pobożności, ożywiały je różne wzruszenia, związane pamięcią z dawnemi laty. Często więc przychodziły mu na myśl owe czasy, w których Chowańskiego z tak wielką sławą podchodził, i dawni kompanjonowie stawali mu jakby żywi przed oczyma: Kokosiński, olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus, raby Ranicki z senatorską krwią w żyłach, Uhlik, na czekaniku grywający, Rekuć, na którym krew ludzka nie ciężyła, i Zend, ptactwo i wszelkiego zwierza biegle naśladujący.

— Wszyscy oni, prócz może jednego Rekucia, w piekle skwierczą, a ot! użyliby teraz, otby się we krwi ubabrali, grzechu na duszę nie ściągając i z pożytkiem dla Rzeczypospolitej!...

Tu wzdychał pan Andrzej na myśl, jak zgubną rzeczą jest swawola, skoro w zaraniu

młodości drogę do pięknych uczynków na wieki wieków zamyka.

Lecz najwięcej wzdychał do Oleńki. Im bardziej zapuszczał się w granice pruskie, tern srożej paliły go rany serca, jakby owe pożary, które rozniecał, i dawną miłość zarazem podsycały. Codzień też prawie mówił w swem sercu do dziewczyny:

— Gołąbku najmilszy, możeś tam już o mnie zapomniał, a jeżeli wspomnisz, to jeno niechęć ci serce zaleje; ja zaś, daleki, czy bliski, w nocy i we dnie, w pracy dla ojczyzny i trudzie, o tobie ciągle myślę, i dusza leci ku tobie przez bory i wody, jak zmęczony ptak, aby zaś u nóg twoich się położyć. Rzeczypospolitej i tobie oddałbym wszystką krew moją, ale górze mi, jeśli w sercu na wieki banitem mnie ogłosisz!

Tak rozmyślając, szedł coraz wyżej ku północy pasem granicznym, palił i ścinał, nikogo nie żywił. Tęsknota dławiła go okrutna. Chciałby jutro być w Taurogach, a tymczasem droga była jeszcze tak daleka i tak trudna, bo wreszcie poczęto bić we wszystkie dzwony w całej prowincji pruskiej.

Kto żyw chwytał za broń, by dać opór strasznym niszczycielom; sprowadzano prezydja nawet z bardzo odległych miast, formowano pułki nawet z pachołków miejskich, i wkrótce wszędy mogło stanąć ze dwudziestu chłopa przeciw jednemu Tatarowi.

Kmicic rzucał się na owe komendy, jak piorun, gromił, rozpraszał, wieszał, wywijał się, krył i znów wypływał na fali ognia, ale jednak nie mógł już iść tak szybko, jako wprzódy. Nieraz trzeba było tatarskim sposobem zapadać i taić się całemi tygodniami w gąszczu lub trzcinach nad brzegami jezior. Ludność wysypywała się coraz gęściej, jakby na wilka, a on kąsał też jak wilk, co jedlnem uderzeniem kłów śmierć zadaje, i nietylko się bronił, ale zaczepnej wojny nie zaniechał.

Miłując pracę rzetelną, czasem, mimo pościgu, tak długo nie ruszał się z jakiejś okolicy, póki jej mieczem i ogniem na kilka mil nie zniszczył. Nazwisko jego dostało się, niewiadomo jakim sposobem, do ust ludzkich i grzmiało okryte zgrozą i przerażeniem, aż do brzegów Bałtyku.

Mógł wprawdzie pan Babinicz wejść napowrót w granice Rzeczypospolitej i mimo komend szwedzkich śpieszniej ruszyć do Taurogów, ale nie chciał tego uczynić, bo pragnął nie sobie tylko, lecz Rzeczypospolitej służyć.

Tymczasem przyszły wieści, które miejscowym mieszkańcom dodały ducha do obrony i zemsty, a srogą żałością przejęły serce pana Babinicza. Gruchnęło o wielkiej bitwie pod Warszawą, którą król polski miał przegrać. „Karol Gustaw i elektor pobili wszystkie wojska Kazimierzowe“—powtarzano sobie w Prusach z radością. — „Warszawa znów wzięta!“

największa to w całej wojnie wiktorja, i teraz będzie już koniec Rzeczypospolitej!

Wszyscy ludzie, których zagarniali i kładli na węgle dla zeznań Tatarzy, powtarzali to samo; były i przesadne wieści, jako zwykle w czasach wojennych a niepewnych. Wedle tych wieści, wojska były doszczętnie zniesione, hetmani polegli, a Jan Kazimierz dostał się do niewoli.

Więc wszystko się skończyło? więc owa powstająca i zwycięska Rzeczpospolita była tylko czczem mamidłem? Tyle potęgi, tyle wojsk, tylu wielkich ludzi i znamienitych wojowników: hetmani, król, pan Czarniecki ze swoją niezwyciężoną dywizją, pan marszałek koronny, inni panowie ze swemi pocztami, wszystko przepadło, wszystko jak dym się rozwiało?! I niemasz już innych obrońców tego nieszczęsnego kraju, prócz luźnych partyj powstańczych, które zapewne na wieść o klęsce jak tuman się rozwieją?!

Pan Kmicic włosy z czupryny darł i ręce łamał, chwytał wilgotną ziemię garściami i do płonącej głowy przyciskał.

— Polegnę i ja! —■ mówił sobie — ale wprzód ziemia ta krwią spłynie!

I począł wojować jak desperat; nie ukrywał się już więcej, nie zapadał po lasach i trzcinach, śmierci szukał, rzucał się jak szalony na siły trzykroć większe i roznosił je w puch na szablach i kopytach. W Tatarach

jego zamarły wszystkie resztki uczuć ludzkich i zmienili się w stado dzikich zwierząt. Drapieżny, ale niezbyt przydatny do walki w otwarłem polu lud, nie utraciwszy nic ze swej zdolności do zasadzek i podstępów, przez ciągłą wprawę, przez ciągłe walki, wyćwiczył się tak, że najpierwszej w świecie jeździe mógł pierś w pierś dotrzymać pola i roznosić czworoboki nawet szwedzkiej dalekarlijskiej gwardji. W zapasach ze zbrojną chasą pruską stu tych Tatarów rozbijało z łatwością dwieście i trzysta tęgich, zbrojnych w muszkiety i włócznie pachołków.

Kmicic oduczył ich obciążania się łupem,— brali tylko pieniądze, a mianowicie złoto, które zaszywali w kulbaki. To też, gdy który poległ, pozostali bili się z wściekłością o jego konia i siodło. Bogacąc się w ten sposób, nie stracili nic ze swej nadludzkiej prawie lotności. Poznawszy, że pod żadnym w świecie wodzem nie mieliby żniw tak obfitych, przywiązali się do Babinicza, jako psy gończe do myśliwca, i z prawdziwie mahometańską uczciwością składali po bitwach w ręce Soroki i Kiemliczów lwią część łupów „bagadyrowi“ przynależną.

— Ałła! — mawiał Akbah-Ułan — mało ich Bakczysaraj [1] zobaczy, ale ci, którzy wrócą, murzami wszyscy zostaną.

---

[1] dawną stolicę chanów krymskich.

Babinicz, który zdawna umiał się z wojny żywić, zebrał bogactwa potężne; natomiast śmierci, której więcej od złota szukał, nie znalazł.

Upłynął znów miesiąc na harcach i trudach wiarę ludzką przechodzących. Bachmatom, lubo jęczmieniem i pruską pszenicą pasionym, trzeba było koniecznie dać choć parę dni wypoczynku, zatem młody pułkownik, chcąc także wieści zasięgnąć i szczerby w ludziach nowymi wolentarzami zastąpić, cofnął się koło Dospady w granice Rzeczypospolitej.

Wieści wkrótce przyszły, i to tak radosne, że Kmicic mało rozumu nie stracił. Okazywało się prawdą, że równie dzielny jak niefortunny Jan Kazimierz przegrał wielką trzydniową bitwę pod Warszawą, ale z jakiejże przyczyny?

Oto pospolite ruszenie w ogromnej części rozeszło się przedtem do domów, a pozostała część nie 'biła się już z takim animuszem, jak przy wzięciu Warszawy, i trzeciego dnia bitwy wszczęła popłoch. Natomiast przez dwa pierwsze dni ważyło się zwycięstwo na stronę polską. Wojska regularne już nie w dorywczej podjazdowej wojnie, ale w wielkiej bitwie z najbardziej wyćwiczonym w Europie żołnierzem okazały taką umiejętność i wytrwałość, że samych jenerałów szwedzkich i brandenburskich ogarnęło zdumienie.

Król Jan Kazimierz nieśmiertelną sławę pozyskał. Mówiono, że okazał się być równym

Karolowi Gustawowi wodzem, i że gdyby wszystkie jego rozporządzenia spełnione zostały, nieprzyjaciel straciłby walną bitwę i wojna byłaby ukończona.

Kmicic miał już też wiadomości z ust naocznych świadków, natknął się bowiem na szlachtę, która służąc w pospolitakach, brała w bitwie udział. Jeden z nich opowiadał mu o świetnem uderzeniu husarji, w czasie którego sam Carolus, który, mimo zaklęć jenerałów, cofać się nie chciał, omal nie zginął. Wszyscy też potwierdzali, że nieprawda, jakoby wojska były zniesione lub żeby hetmani polegli. Owszem, cała potęga, prócz pospolitego ruszenia, pozostała nienaruszona i cofnęła się w dobrym ładzie wdół kraju.

Na moście warszawskim, który się załamał, uroniono tylko armaty, ale „ducha przewieziono przez Wisłę“. Wojsko klęło się na wszystko, że pod takim wodzem, jak Jan Kazimierz, pobije w następnem spotkaniu Karola Gustawa, elektora, i kogo będzie trzeba, bo ta bitwa, to była tylko próba, lubo niepomyślna, ale dobrej otuchy na przyszłość pełna.

Kmicic zachodził w głowę, skąd pierwsze wieści mogły być tak straszne. Wytłumaczono mu, że Karol Gustaw umyślnie porozsyłał przesadzone nowiny, w rzeczy zaś niebardzo wiedział, co czynić. Oficerowie szwedzcy, których pan Andrzej w tydzień później ułowił, potwierdzili to zdanie.

Dowiedział się też od nich, że zwłaszcza elektor żył w wielkiem przerażeniu i o własnej skórze coraz bardziej poczynał myśleć, że z wojsk jego siła pod Warszawą legło, na pozostałe rzuciły się choroby lak straszne, iż gorzej bitew je niszczą. Tymczasem zaś Wielkopolanie, pragnąc za Ujście i wszystkie krzywdy zapłacić, najechali samą monarchję brandenburską, paląc, ścinając, wodę a ziemię zostawując. Wedle oficerów, bliską była godzina, w której elektor porzuci Szwedów, a z mocniejszym się połączy.

— Trzeba mu tedy przypiekać, — pomyślał Kmicic, — żeby prędzej to uczynił.

I mając konie już wypoczęte, a szczerby zapełnione, znów przekroczył Dospadę i jak duch zniszczenia na osady niemieckie się rzucił.

Różne „partje“ poszły za jego przykładem. Zastał obronę już słabszą, więc tern bardziej dokazywał. Nowiny przychodziły coraz radośniejsze, — tak radosne, że wierzyć w nie było trudno.

Oto naprzód poczęto prawić, że Karol Gustaw, który po bitwie warszawskiej aż do Radomia się posunął, cofa się teraz na złamanie szyi ku Prusom Królewskim. Co się stało? czemu się cofa? — na to nie było czas jakiś odpowiedzi, aż wreszcie gruchnęło znów po Rzeczypospolitej nazwisko pan^Czarnieckiego. Zbił pod Lipcem, zbił pod Strzemesznem, pod

samą Rawą wyciął w pień tylną straż umykającego Karola, zaczem dowiedziawszy się, iż dwa tysiące rajtarji wraca z Krakowa, napad! na nią wstępnym bojem i ani zwiastuna klęski żywcem nie puścił. Pułkownik Forgell, brat jenerała, czterech innych pułkowników, trzech majorów, trzynastu rotmistrzów i dwudziestu trzech poruczników poszło w łyka. Inni podawali liczbę podwójną, niektórzy twierdzili już w uniesieniu, że pod Warszawą nie klęskę, ale zwycięstwo odniósł Jan Kazimierz i że jego pochód wdół kraju był tylko fortelem dla pogrążenia nieprzyjaciela.

Sam pan Kmicic tak począł myśleć, bo od pacholęcych lat przecież żołnierzem będąc, rozumiał się na wojnie, a nigdy nie słyszał o takiem zwycięstwie, po któremby się zwycięzcom gorzej dziać miało. A Szwedom widocznie było gorzej, i właśnie od bitwy warszawskiej.

Panu Andrzejowi przypomniały się wówczas słowa pana Zagłoby, gdy przy ostatniem widzeniu się mówił, że wiktorje nie naprawią już szwedzkiej sprawy, zaś jedna walna przegrana może ich zgubić.

— Kanclerska to głowa! —• pomyślał Kmicic — która, jakoby w księdze, w przyszłości umie czytać.

Tu przypomniały mu się i dalsze proroctwa pana Zagłoby, jako on, Kmicic alias Babinicz, do Taurogów dojdzie, Oleńkę swoją odnajdzie,

przebłaga, zaślubi i potomstwo z niej na chwałę kraju wyprowadzi. Gdy sobie to wspomniał, ogień wstąpił mu w żyły; już i chwili tracić nie chciał, jeno Prusaków i rzezi na czas zaniechać i do Taurogów lecieć.

Wtem w wilję wyjazdu przybył do niego szlachcic laudański z pod ©horągwi pana Wołodyjowskiego z listem od małego rycerza.

„Idziemy z panem hetmanem polnym litewskim i księciem krajczym za Bogusławem i Waldekiem — pisał pan Michał. — Połączże się z nami, bo pole do słusznej zemsty się znajdzie, a i prusactwu za opresję Rzeczypospolitej spłacić się przygodzi“.

Pan Andrzej własnym oczom wierzyć nie chciał i czas jakiś posądzał szlachcica, iż chyba przez jakiego komendanta pruskiego czy szwedzkiego umyślnie był nasłany, aby go wraz z czambułem w zasadzkę wprowadzić. Miałżeby pan Gosiewski istotnie drugi raz do Prus ciągnąć? Niepodobna było nie wierzyć. Ręka była pana Wołodyjowskiego, herb pana Wołodyjowskiego, a i szlachcica sobie pan Andrzej przypomniał. Więc indagować go począł, gdzie pan Gosiewski się znajduje i dokąd dojść zamierza?

Szlachcic dość był głupkowaty. Nie jemu wiedzieć, dokąd pan hetman chce iść; wie tylko, że pan hetman z tą samą dywizją lite wsko-tatarską o dwa dni drogi, a przy nim

jest i chorągiew laudańska. Pożyczył jej sobie na czas pan Czarniecki, ale już zdawna odesłał, a teraz idą, gdzie pan hetman polny prowadzi.

— Mówią, — kończył szlachcic, — że do Prus pójdziem, i żołnierz cieszy się okrutnie... Ale zresztą nasza rzecz słuchać i bić.

Kmicic wysłuchawszy relacji, nie namyślał się długo, zawrócił czambuł i poszedł wielkim pochodem ku panu hetmanowi, a po dwóch dniach, już późną nocą, padł w ramiona panu Wołodyjowskiemu, który wyściskawszy go, zaraz zakrzyknął:

— Graf Waldek i książę Bogusław są w Prostkach, szańce sypią, by się warownym obozem ubezpieczyć. Pójdziem na nich.

— Dziś? — rzekł Kmicic.

— Jutro dodnia, to jest za dwie lub za trzy godziny.

Tu padli sobie znów w objęcia.

— Tak mi coś mówi, że go Bóg wyda w ręce nasze! — zawołał wzruszony Kmicic.

— I ja tak myślę.

— Ślubowałem sobie do śmierci ten dzień pościć, w którym go spotkam.

— Protekcja Boża nie zawadzi — odrzekł pan Michał. — Nie będę też czuł inwidji, jeśli tobie ten los przypadnie, bo twoja krzywda większa.

— Michale! zacniejszego od ciebie kawalera nie widziałem!

— A niechże ci się, Jędrek, przypatrzę. Sczerniałeś od wiatru doreszty; aleś się spisał. Z wielką estymą patrzyła cała dywizja na twoją robotę. Nic, jeno zgliszcza i cadavera[i]. Żołnierz z ciebie zawołany. I samemu panu Zagłobie, gdyby tutaj był, ciężkoby przyszło coś lepszego o sobie wymyślić.

— Dla Boga! a gdzie pan Zagłoba?

— Przy panu Sapieże został, bo spuchł całkiem z płaczu i z desperacji po Rochu Kowalskim...

— To pan Kowalski zginął?

Wołodyjowski zacisnął wargi.

— Wiesz, kto go zabił?

— Skąd mam wiedzieć?... Powiadaj!

— Książę Bogusław!

Kmicic zakręcił się na miejscu, jakby sztychem pchnięty, i począł z sykiem wciągać w siebie powietrze, nakoniec zgrzytnął strasznie zębami, i rzuciwszy się na ławę, wsparł w milczeniu głowę na dłoniach.

Pan Wołodyjowski klasnął w ręce i kazał czeladnikowi napitku przynieść, poczem siadł około Kmicica, nalał kusztyki i począł mówić:

— Roch Kowalski tak kawalerską śmiercią zginął, że nie daj Boże żadnemu z nas gorzej. Dość ci powiedzieć, że mu sam Carolus po otrzymaniu pola pogrzeb wyprawił i cały regiment gwardji ognia nad jego trumną dawał.

---

[i] trupy.

— Żeby nie z tych rąk, żeby nie z tych piekielnych rąk! — zawołał Kmicic.

— Owszem, z rąk Bogusławowych, wiem to od. usarzy, którzy własnemi oczyma na ów żałosny termin patrzyli.

— Toś tam nie był?

— W bitwie miejsca się nie wybiera, jeno się stoi, gdzie każą. Gdybym ja tam był, to albo tubym teraz nie był, albo Bogusław nie sypałby wałów w Prostkach.

—■ Mów, jak wszystko się odbyło. Zawziętości tylko przybędzie.

Pan Wołodyjowski napił się, obtarł żółte wąsiki, i począł:

— Pewno ci nie brakło relacyj o warszawskiej bitwie, bo wszyscy o niej mówią, więc też i ja nie będę się nad nią zbyt długo rozwodził. Nasz pan miłościwy — dajże mu Boże zdrowie i długie lata, bo pod innym królem zginęłaby ta ojczyzna wśród klęsk — okazał się wodzem znamienitym. Gdyby był taki posłuch, jak wódz, gdybyśmy byli go godni, kroniki zapisałyby nową polską wiktorję pod Warszawą, grunwaldzkiej i beresteckiej równą. Krótko mówiąc, pierwszego dnia biliśmy Szwedów. Drugiego poczęła fortuna to na tę, to na tamtą stronę wagi nachylać, ale przecie byliśmy górą. Wtedy to poszła do ataku litewska husarja, w której i Roch służył pod kniaziem Połubińskim, żołnierzem wielkim. Widziałem ich, gdy szli, jako ciebie widzę,

bo stałem z laudańskimi na wyżynie pod szańcami. Było ich tysiąc dwieście ludzi i koni, jakich świat nie widział. Szli na pół staja wedle nas, i mówię ci, ziemia drżała pod nimi. Widzieliśmy piechotę brandenburską, nagwałt zatykającą piki w ziemię, aby pierwszemu impetowi się oprzeć. Inni walili z muszkietów, aż dymy zasłoniły ich zupełnie. Spojrzymy: Husarja już rozpuściła konie. Boże, co za impet! Wpadli w dym... znikli! U mnie żołnierze poczną krzyczeć! „złamią! złamią!“ Przez chwilę nie widać nic. Aż zagrzmiało coś i dźwięk się uczynił, jakby w tysiącu kuźni kowale młotami bili. Spojrzymy: Jezus Marja! Elektorscy mostem już leżą, jako żyto, przez które burza przejdzie, a oni już hen za nimi! jeno proporce migocą! Idą na Szwedów! Uderzyli o rajtarję — rajtarja mostem! uderzyli na drugi regiment — mostem! Tu huk, armaty grzmią... widzimy ich, gdy wiatr dym zwieje. Łamią piechotę szwedzką... Wszystko pierzcha, wszystko się wali, rozstępuje, idą jakgdyby ulicą... bezmała przez całą armję już przeszli!... Zderzą się z pułkiem konnej gwardji, wśród którego Carolus stoi... i gwardję jakoby wicher rozegnał!...

Tu przerwał Wołodyjowski opowiadanie, bo Kmicic pięściami oczy zatkał i krzyczeć począł:

— Matko Boża! raz widzieć i polec!

— Takiego ataku nie zobaczą już oczy ¡moje — ciągnął dalej mały rycerz. •— Nam też skoczyć kazano... Więcej nie widziałem, ale coć powiem, tom słyszał z ust szwedzkiego oficera, który przy boku Karolowym wówczas był i własnemi oczyma na termin patrzył. Gdy już husarja wszystko złamała po drodze, ten Forgell, który później pod Rawą wpadł w nasze ręce, rzucił się do rąk Karolowych: „Królu, ratuj Szwecję! ratuj siebie! — krzyknął —- ustępuj! ustępuj! nic ich nie wstrzyma!“ — A Carolus na to: „Na nic przed nimi ustępować, trzeba opór dać lub zginąć!” Przypadają inni jenerałowie, błagają, proszą, —- nie chce. Ruszył naprzód... zderzyli się i złamano Szwedów prędzej, niżby do dziesięciu zrachował. Kto legł, tego stratowano; inni rozsypali się, jak groch. Nuż ich ciąć. Król odbił się samowtór; najechał go Kowalski i poznał, bo go już dwa razy widział. Kiedy nie natrze!... Rajtar zastawił króla... Ale owo, powiadali ci, którzy widzieli, że i piorun prędzej nie zabija, jako Roch rozwalił go na dwoje. Wówczas sam król rzucił się na niego...

Wołodyjowski przerwał znów opowiadanie i odetchnął głęboko, lecz Kmicic zaraz zawołał :

— Kończ już, bo dusza ze mnie wyjdzie !

— Starli się tedy w środku pola, iże piersi końskie uderzyły o piersi. Zakotłowało się!

„Spojrzę, — powiada nam oficer, — aż król wraz z koniem już na ziemi!” Wydostał się, ruszył cyngla krócicy, chybił. Roch go za łeb, bo mu kapelusz spadł. Już miecz wznosił, już Szwedzi mdleli z przerażenia, bo nie czas było iść na ratunek, gdy Bogusław jakoby z pod ziemi wyrósł i w samo ucho Kowalskiemu wystrzelił, że mu głowę wraz z hełmem roz- niosło.

— Dla Boga! — Nie miałże czasu miecza spuścić?! — krzyknął pan Andrzej, targając się za czuprynę.

— Bóg nie dał mu tej łaski — odrzekł pan Michał. — Zgadliśmy też z Zagłobą, co się stało. Oto służyło ciłopisko u Radziwiłłów od pacholęcych lat, za panów ich swoich uwa- żało, — i na widok Radziwiłła musiało się skonfundować. Może mu nigdy ta myśl w gło- wie nie postała, żeby na Radziwiłła można rękę podnieść. Bywa tak, bywa! Ha! życiem to przypłacił. Dziwny człek jest pan Zagłoba, bo on mu wcale wujem, ni krewnym nie był, a przecie innyby po synu tak nie despero- wał... Prawdę zaś rzekłszy, nie było czego, bo tak sławnej śmierci zazdrościćby Kowalskiemu można. Toż szlachcic i żołnierz nato się rodzi, by •— nie dziś, to jutro — gardło dać, a o Ko- walskim dzieje pisać będą i potomność jego imię wysławi.

Umilkł pan Wołodyjowski, po chwili zaś przeżegnał się i rzekł:

— Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci...

— Na wieki wieków! — zakończył Kmicic.

Czas jakiś szeptali obaj modlitwy, może o podobną śmierć dla siebie prosząc, byle nie z rąk Bogusławowych, wreszcie pan Michał rzekł:

— Ksiądz Piekarski zaręczał nam, że on wprost do raju poszedł.

— Pewnie, że tak, to mu i modlitwy nasze nie potrzebne.

— Modlitwy zawsze potrzebne, bo na rejestr innych będą wpisane, a może na nasz własny.

Kmicic westchnął.

— W miłosierdziu Bożem nadzieja — rzekł; — tuszę też, że za to, com tu w Prusach dokazywał, choć z parę łat czyśćca będzie mi odpuszczonych.

— Wszystko się tam karbuje. Co tu człowiek szablą wyrąbie, to tam sekretarze niebiescy zapisują.

— Służyłem i ja u Radziwiłła, — rzekł Kmicic, — ale się widokiem Bogusława nie skonfunduję. Boże, Boże, toć Prostki niedaleko! Pomnij Panie, że on i Twój nieprzyjaciel, bo heretyk, któren nieraz prawdziwej Twej wierze bluźnił!

— I ojczyzny nieprzyjaciel! — dodał Wołodyjowski. — Miejmy nadzieję, że jego termin się zbliża. Pan Zagłoba to samo po owym ata-

ku husarji prorokował, a mówił w żalu, we łzach, jakoby natchniony. I przeklinał Bogusława tak, że aż słuchającym włosy w czuprynach stawały. Książę Kazimierz Michał, który z nami przeciw nim ciągnie, widział też we śnie dwie złote trąby, które Radziwiłłowie w tarczy noszą, pogryzione przez niedźwiedzia •— i zaraz na drugi dzień powiadał: „Albo mnie, albo którego z innych Radziwiłłów nieszczęście spotka“.

— Przez niedźwiedzia? — spytał, blednąc Kmicic.

— Tak jest.

Twarz pana Andrzeja rozjaśniła się, jakgdyby na nią blask zórz porannych upadł, oczy wzniósł do góry, ręce ku niebu wyciągnął i uroczystym głosem zawołał:

—■ Jaż w herbie mam niedźwiedzia. Chwała Ci, Panie, na wysokościach!... Chwała Ci, Matko Najświętsza!... Panie, Panie! nie jestem godzien tej łaski!

Usłyszawszy to Wołodyjowski, wielce także się wzruszył, bo poznał zaraz, że w tem jest omen niebieski.

—- Jędrek! — zawołał — ściśnijże dla pewności przed bitwą nóżki Chrystusowi, a ja o Sakowicza Go poproszę.

— Prostki! Prostki! — powtarzał jakby w gorączce Kmicic. — Kiedy ruszamy?

— Dodnia, a niezadługo już świtać p ocznie.

Kmicic zbliżył się do wybitego okienka chałupy, spojrzał w niebo i zawołał:

— Bledną już gwiazdy, bledną. „Ave Maria“...

Wtem rozległo się dalekie pianie koguta, a jednocześnie zabrzmiało ciche trąbienie przez munsztuk. W kilka pacierzy później ruch począł się w całej wsi. Słychać było szczęk żelaza, parskanie koni. Ciemne masy jazdy zbierały się na gościńcu.

Powietrze poczęło się nasycać światłem; blady blask jął srebrzyć groty włóczni, migotać na gołych szablach, wydobywać z cienia wąsate, groźne twarze, hełmy, kołpaki, kapuzy, tatarskie baranie czapki, łołuby, sajdaki. Wreszcie pochód z panem Kmicicem w przedniej straży ruszył ku Prostkom; wojska rozciągnęły się długim wężem po drodze i szły żywo.

Konie poczęły parskać okrutnie w pierwszych szeregach, za niemi inne — na dobrą dla żołnierzy wróżbę.

Białe tumany zakrywały jeszcze łąki i pola.

Naokół była cisza, jeno derkacze grały w zroszonych trawach.

ROZDZIAŁ II.

Dnia 6 września doszły wojska polskie do Wąsoszy i stanęły na odpoczynek, aby przed bitwą konie i ludzie mogli sił nabrać. Posta’

nowił pan podskarbi cztery albo pięć dni się tam zatrzymać, ale wypadki pomieszały jego rachubę.

Pana Babinicza, jako znającego już dobrze pogranicze, wyprawiono na podjazd, dawszy mu dwie lekkie litewskie chorągwie i świeży czambulik ordy, bo jego Tatarzy zbyt byli pomęczeni.

Pan podskarbi wielce mu przed drogą zalecał, by się o języka starał i z próżnemi rękoma nie wracał. Babinicz zaś uśmiechnął się tylko, myśląc sobie, iż nie potrzeba mu żadnej zachęty i że jeńców przywiedzie, choćby ich za okopami w Prostkach miał szukać.

Jakoż wrócił we dwie doby, przywiódłszy kilkunastu Prusaków i Szwedów, a pomiędzy nimi znacznego oficera von Rössela, kapitana z pruskiego regimentu Bogusława.

Przyjęto podjazd w obozie z wielkim aplauzem[1]. Kapitana nie potrzeba było brać na pytki, bo już to Babinicz w drodze, przyłożywszy mu sztych do gardła, uczynił. Z zeznań jego okazywało się, że nie same pruskie pułki grafa Waldeka stoją w Prostkach, ale i sześć regimentów szwedzkich, pod komendą jenerał-majora Izraela, z tych cztery jazdy pod Petersem, Frytjotsonem, Taubenem, Ammersteinem, i dwa piechoty pod braćmi Engel. Z pułków pruskich, bardzo okrytych, prócz

---

[1] poklaskiem,

własnego grafa Waldeka, był księcia Wismaru, Brunda, Konnaberga, jenerała Walrata, oraz cztery chorągwie z komendy Bogusławowej: dwie szlachty pruskiej, i dwie jego własne.

Naczelną komendę miał rzekomo graf Waldek, lecz w rzeczywistości słuchał we wszystkiem księcia Bogusława, którego wpływom ulegał także i szwedzki jenerał Izrael.

Najważniejszą wszelako wiadomością, jakiej von Rössel udzielił, była ta, że z Ełku śpieszy na pomoc pod Prostki dwa tysiące wyborowej pomorskiej piechoty, graf Waldek zaś, bojąc się, aby oddziały owe nie zostały zagarnięte przez ordę, pragnie wyjść z warownego obozu, i dopiero po połączeniu się z niemi, drugi raz się okopać. Książę Bogusław był, wedle Rössela, aż dotąd dość przeciwny opuszczeniu Prostek i dopiero w ostatnich dniach skłaniać się do tego zaczął.

Usłyszawszy to pan Gosiewski, wielce się uradował, bo już był pewien, że go zwycięstwo nie minie. Nieprzyjaciel długo potrafiłby bronić się w okopie, lecz ani szwedzka, ani pruska jazda nie mogła dotrzymać litewskiej w otwartem polu.

Książę Bogusław rozumiał to widocznie tak samo dobrze, jak pan podskarbi, i dlatego właśnie niebardzo pochwalał Waldekowe plany. Lecz zbyt był próżnym, aby nie ustąpił przed zarzutem nawet zbytniej ostrożności. Wreszcie nie odznaczał się cierpliwością.

Można było niemal na pewno rachować, że sprzykrzy sobie leżenie w wałach i w otwartej bitwie sławy i zwycięstwa poszuka. Pan podskarbi powinien był tylko śpieszyć się, aby nastąpić na nieprzyjaciela właśnie w chwili, gdy będzie okopy opuszczał.

Tak też myślał i on sam i inni pułkownicy, jako Hassun-bej, który ordą dowodził, pan Wojniłłowicz z królewskiego znaku, pan Korsak, pułkownik petyhorski, pan Wołodyjowski, pan Kotwicz i pan Babinicz. Wszyscy zgodzili się na jedno, że trzeba dalszego odpoczynku zaniechać i na noc, to jest za kilka godzin, ruszać; tymczasem pan Korsak wysłał natychmiast swego chorążego, Biegańskiego, aby szedł pod Prostki i nadciągającemu wojsku każdej godziny znać dawał, co się w obozie dzieje. Wołodyjowski zaś i Babinicz wzięli do swej kwatery Rössela, aby o Bogusławie czegoś więcej od niego się dowiedzieć.

Kapitan z początku przerażony był wielce, bo jeszcze sztych Kmicicowy czuł na gardle, ale wkrótce wino rozwiązało mu język. Że zaś kiedyś, służąc w Rzeczypospolitej w cudzoziemskim autoramencie, wyuczył się po polsku, przeto mógł i na pytania małego rycerza, nie umiejącego po niemiecku, odpowiadać.

— Dawno waść służysz u księcia Bogusława? — pytał mały rycerz.

— Ja u księcia w jego nadwornem wojsku nie służę, — odrzekł Róssel, — jeno w elektor«

skim pułku, który pod jego komendę został oddany.

— To i pana Sakowicza waść nie znasz?

— Pana Sakowicza widywałem w Królewcu.

— Jest-li on przy księciu?

— Niemasz go. W Taurogach został.

Mały rycerz westchnął i wąsikami ruszył.

—• Nie mam szczęścia, jako zwykle! — rzekł.

— Nie frasuj się, Michale, — rzekł Babinicz, — odnajdziesz go, — a nie, to ja odnajdę.

Poczem .zwrócił się do Rössela:

— Waść jesteś stary żołnierz, widziałeś oba wojska, a naszą jazdę znasz oddawna; jakże myślisz, po czyjej stronie będzie wiktorja?

— Jeśli wam pole dadzą za okopem, to po waszej, ale okopu bez piechoty i armat nie zdobędziecie, zwłaszcza że tam się wszystko księcia Radziwiłła głową dzieje.

— Za takiegoż to wielkiego masz go waść wodza?

— Nietylko ja, ale ogólne to jest mniemanie w obu wojskach. Powiadają też, że pod Warszawą serenissimus rex Sueciae[1] we wszystkiem szedł za jego radą i dlatego wielką bitwę wygrał. Książę, jako Polak, lepiej zna wasz sposób wojowania i prędzej radę wymyślić umie. Sam widziałem, jako król szwedzki

[1] najjaśniejszy król szwedzki,

po trzecim dniu bitwy przed frontem wojsk księcia ściskał i całował. Prawda, że mu życie był winien, bo gdyby nie strzał książęcy... no! strach myśleć!... Rycerz to jest przytem niezrównany, z którym się nikt na żadną broń mierzyć nie może.

— Ej! — rzekł pan Wołodyjowski — możeby się taki znalazł...

To rzekłszy, wąsikami groźnie ruszył. Róssel popatrzył na niego i nagle poczerwieniał. Przez chwilę zdawało się, że albo krew go zaleje, albo śmiechem wybuchnie; lecz wreszcie wspomniał, iż jest w niewoli, więc opamiętał się zaraz.

Kmicic zaś popatrzył na niego pilnie swojemi stalowemi oczyma i rzekł, zaciskając nieco wargi:

— Jutro się pokaże...

— A zdrów teraz Bogusław? — pytał pan Wołodyjowski — bo go to febra długo trzęsła i osłabić go musiała?...

— Zdrów oddawna, jak ryba, i lekarstw żadnych nie bierze. Chciał mu medyk z początku dawać różne prezerwatywy [1], ale właśnie po pierwszej zdarzył się zaraz paroksyzm. Wprawdzie nie powtórzył się więcej. Książę Bogusław kazał też rzucać medykiem w prześcieradłach, i to mu pomogło, bo medyk sam febry ze strachu dostał.

---

[1] środki zapobiegawcze.

— Rzucać w prześcieradłach? — spytał pan Wołodyjowski.

— Sam widziałem — odrzekł Rössel. — Złożono dwa prześcieradła do kupy, w środku położono medyka, zaczem czterech silnych trabantów wzięło prześcieradła za rogi, i kiedy to nie p oczną rzucać nieborakiem, to, mówię waszym miłościom, mało na dziesięć łokci w górę podlatywał, a oni ledwie go złapią — i znów w górę. Jenerał Izrael, graf Waldek i książę za boki trzymali się od śmiechu. Nas też oficerów wielu patrzyło na owo widowisko, póki medyk nie omdlał. Księciu potem jakby ręką odjął.

Jakkolwiek Wołodyjowski i Babinicz nienawidzili Bogusława, nie mogli jednak wstrzymać się także od śmiechu, słysząc o tej krotofili. Pan Babinicz zaś uderzył się rękoma po kolanach i zawołał:

— Ha! szelma, jak sobie poradził!

— Trzeba panu Zagłobie o tern lekarstwie powiedzieć — rzekł mały rycerz.

— Na febrę to pomogło, — rzecze Rössel, — ale co po tern, kiedy książę niedość zapędy krwi hamuje i dlatego nie dożyje późnego wieku.

— I ja tak myślę — mruknął przez zęby Babinicz. — Tacy, jak on, długo nie żyją-

— Zali i w obozie jeszcze sobie folguje? —■ spytał pan Wołodyjowski.

— Jakże nie? — odrzekł Rössel. — Śmiał się nieraz graf Waldek, mówiąc, że jego książęca mość fraucymer ze sobą wozi... J a zaś sam dwie gładkie panny widziałem, o których mówili mi dworzanie, że do prasowania krez służą... Ale Boga tam!

Babinicz, usłyszawszy to, zaczerwienił się i zbladł, — nagle zerwał się na równe nogi, i porwawszy Rössela za ramię, począł nim potrząsać gwałtownie.

— Polki to są, czyli Niemkinie? Powiadaj!

— Nie Polki — odparł przestraszony Rössel; — jedna jest szlachcianka pruska, a druga Szwedka, która przedtem u żony jenerała Izraela służyła.

Babinicz spojrzał na Wołodyjowskiego i odetchnął głęboko; mały rycerz odetchnął także i przestał wąsikami ruszać.

—■ Pozwólcie mi wasze miłoście pójść spocząć -— rzekł Rössel; — okrutniem utrudzon, bo dwie mile mnie Tatarzyn na arkanie prowadził.

Kmicic zaklasnął na Sorokę i powierzył mu jeńca;, poczem zwrócił się szybkim krokiem do pana Wołodyjowskiego.

— Dość już tego! — rzekł — wolę zginąć, wolę sto razy zginąć, aniżeli żyć w tych ustawicznych trwogach i niepewności. Ot i teraz, gdy Rössel wspomniał o onych dziewkach, myślałem, że mnie kto obuchem w skroń zajechał.

Na to pan Wołodyjowski trzasnął rapierem.

— Czas skończyć! — rzekł.

Wtem zatrąbiono przy hetmańskiej kwaterze, i wnet po wszystkich litewskich chorągwiach odezwały się trąbki a w czambułach piszczałki.

Wojsko poczęło się zbierać, i w godzinę później było w pochodzie.

Zanim uszli milę, nadbiegł posłaniec od chorążego Biegańskiego, z chorągwi pana Korsakowej, z wiadomością od hetmana, iż schwytano kilku rajtarów z większej kupy, która z tej strony rzeki zabierała wszystkie wozy i konie chłopskie. Badani na miejscu, wyznali, że tabor i całe wojsko ma opuścić Prostki nazajutrz o ósmej rano i że rozkazy są już wydane.

— Chwalmy Boga i popędzajmy konie - — rzekł na to pan podskarbi. — Do wieczora nie będzie już tych wojsk!

Posłano tedy ordę na łeb na szyję, aby jak najprędzej starała się dostać między wojska Waldekowe a ową piechotę pruską, śpieszącą na pomoc. Za nią litewskie chorągwie poszły rysią, że zaś najwięcej było lekkich, więc szły tak wartko, iż tuż tuż za ordą nadążały.

Kmicic poszedł w pierwszej ordzińskiej [1] straży i parł swoją watahę, aż z koni dymiło. Po drodze kładł się na kulbace, czołem bił

---

[1] tatarskiej.

o kark koński, i modlił się ze wszystkich sił duszy:

— Nie za moją krzywdę daj mi się, Chryste, pomścić, ale za insulty [1] ojczyźnie wyrządzone! Jam grzesznik, jam łaski Twojej nie godzien, ale zmiłuj się nade mną, pozwól mi tę krew heretycką rozlać, a na chwałę Twoją będę suszył i będę się biczował każdego tygodnia w ten dzień po wiek życia mego!

Potem Najświętszej Pannie Częstochowskiej, której krwią własną służył, i patronowi swojemu jeszcze się polecał, a tak protekcję ich sobie zapewniwszy, uczuł zaraz, że ogromna nadzieja wstępuje mu do duszy, że moc nadzwyczajna przejmuje jego członki, moc taka, przed którą w proch musi upaść wszystko. Zdawało mu się, że z ramion wyrastają mu skrzydła; radość ogarnęła go jak wicher, i leciał na czele Tatarów, aż iskry sypały się z pod kopyt jego konia. Tysiące dzikich wojowników, pochylonych na karki końskie, pędziło za nim.

Fala śpiczastych czapek chwiała się w takt końskiego pędu, łuki kołysały się na plecach, przed nimi biegł tętent bachmatów, ztyłu dolatywał głuchy szum nadążających litewskich chorągwi, podobny do szumu wezbranej rzeki.

I lecieli tak wśród nocy pysznej, gwiaździstej, pokrywającej drogi i pola, — nakształt

[1] zniewagi.

olbrzymiego stada drapieżnych ptaków, które krew zwietrzyły w oddaleniu.

Mijali pola bujne, dąbrowy, łąki, aż wreszcie sierp miesiąca pobladł i pochylił się ku zachodowi. Wówczas zwolnili koniom i stanęli na popas ostatni. Byli już nie dalej, jak pół mili niemieckiej od Prostek.

Tatarzy poczęli karmić konie z rąk jęczmieniem, aby nowych sił nabrały przed bitwą. Kmicic zaś, przesiadłszy się na zapaśnego dzianeta, pojechał dalej, aby na obóz nieprzyjaciela okiem rzucić.

Po pół godziny drogi trafił w łozie nad rzeczką na ów podjeździk petyhorski, który pan Korsak wysłał na zwiady.

—• A co? — spytał chorążego pan Kmicic.— Co słychać?

— Nie śpią już i huczą, jak pszczoły w ulu — odparł chorąży. — Byliby się już ruszyli, ale nie mieli dość wozów.

— Zali można gdzie z pobliża obóz widzieć?

— Można, z onego wyniesienia, które krzakami pokryte, Obóz hen tam leży w dole rzeki. Chce wasza miłość popatrzyć?

— Prowadź waść.

Chorąży ruszył koniem i wyjechali na wzniesienie. Już też zorze były na niebie i powietrze przesycało się złotem światłem, ale wedle rzeki, na drugim, niskim brzegu, leżała jeszcze mgła surowa. Oni, ukryci w krzach,

patrzyli w ową mgłę, rzednącą coraz bardziej.

Nakoniec o dwie staje odsłonił się w dolinie kwadratowy okop ziemny; wzrok Kmicica wpił się weń z chciwością, lecz w pierwszej chwili dojrzał tylko mgliste zarysy namiotów, wozów, stojących w środku wzdłuż wałów. Płomienia ognisk nie było już widać, tylko dymy podnosiły się wysokiemi smugami ku ■niebu, na znak pogody. Lecz w miarę jak mgła roztapiała się coraz bardziej, mógł pan Babinicz z pomocą perspektywy odróżnić pozatykane na wałach chorągwie błękitne szwedzkie i żółte pruskie, następnie masy żołnierzy, działa i konie.

Naokoło była cisza, przerywana tylko szelestem krzów, poruszanych przez powiew, i wesołem porannem czyrykaniem [1] szarego ptactwa. Ale z obozu dochodził przytłumiony szum.

Widocznie nikt tam już nie spał, widocznie gotowano się do pochodu, bo w środku okopu panował ruch niezwyczajny. Całe pułki przenosiły się z miejsca na miejsce, niektóre wychodziły przed wały; około wozów panowała sroga krętanina. Staczano również armaty z wałów.

—■ Nie może inaczej być, tylko się do pochodu gotują — rzekł Kmicic.

— Wszyscy jeńcy to zeznawali. Chcą się ze swoją piechotą połączyć. Nie spodziewają się

---

[1] ćwierkaniem.

też, aby pan hetmań mógł na nich nastąpić prędzej, niż wieczorem, — a choćby miał i nastąpić, wolą bitwę w otwartem polu przyjąć, niż oną piechotę pod nóż wydać.

— Ze dwie godziny upłyną, nim wyruszą, a za dwie godziny pan podskarbi tu będzie.

— Chwalić Boga! — odrzekł chorąży.

— Poślijże waść jeszcze ludzi, by tam nie popasali za długo.

— Wedle rozkazu.

— A nie wysyłali jakich podjazdów na tę stronę rzeki?

— Na tę stronę ani jeden nie wyszedł. Wysłali, ale ku swojej piechocie, która od Ełku nadciąga.

— Dobrze! — rzekł Kmicic.

I zjechał z pagórka, a przykazawszy podjazdowi taić się dalej w trzcinach, sam ruszył, ile tchu w koniu, zpowrotem do chorągwi.

Pan Gosiewski właśnie na koń siadał, gdy Babinicz nadjechał. Prędko opowiedział mu młody rycerz, co widział i jaka jest pozycja okolicy; hetman wysłuchał relacji z wielkiem zadowoleniem, i niemieszkając chorągwie ruszył.

Ale tym razem poszła naprzód Babiniczowa wataha, za nią litewskie: więc Wojniłłowicza, laudańska, własna pana hetmanowa, i inne. Orda pozostała za niemi, bo o to usilnie Hassun-bej prosił, obawiając się, czy lud

jego pierwsze natarcie ciężkiej jazdy wytrzyma. Miał także i inne wyrachowanie.

Oto chciał, aby, podczas gdy Litwa uderzy na czoło wojsk, on z Tatary mógł ogarnąć tabor, w którym łupu najobfitszego się spodziewał. Pan hetman zezwolił, słusznie mniemając, że ordyńcy miękkoby może uderzali na komunik, ale wpadną jak wściekli na tabor i popłoch wzniecić mogą, zwłaszcza że konie pruskie mniej były straszliwego ich wycia zwyczajne.

We dwie godziny, jak przepowiedział Kmicic, stanęli przy owem wzniesieniu, z którego podjazd zaglądał w okopy, a które teraz pochód wszystkich wojsk zasłaniało. Chorąży, na widok zbliżających się wojsk, skoczył jak piorun z wiadomością, że nieprzyjaciel, pościągawszy straże z tamtej strony rzeki, już wyruszył i że właśnie koniec ogona taboru wychodzi z okopu.

Usłyszawszy to pan Gosiewski, wyciągnął buławę z tulei przy kulbace i rzekł:

— To już zawrócić nie mogą, bo wozy drogę zasłaniają. W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego! Niema już poco dłużej się ukrywać!

I skinął na buńczucznego, a ów buńczuk podniósł w górę i począł nim machać na wszystkie strony. Na ten znak wszystkie buńczuki poczęły się kołysać, huknęły trąby i krzywuły, zawrzasły tatarskie piszczałki, za-

dźwięczały litaury, sześć tysięcy szabel rozbłysło w powietrzu i sześć tysięcy gardzieli krzyknęło :

— Jezus Marja!

— Ałła-hu-Ałła!

Zaczem chorągiew za chorągwią wynurzała się rysią z za wzniesienia. W Waldekowym obozie nie spodziewano się tak prędko gości, bo ruch powstał gorączkowy. Bębny poczęły huczeć nieustającym grzmotem; pułki zwracały się frontem ku rzece.

Gołem już okiem można było dostrzec przelatujących między regimentami jenerałów i pułkowników. We środku zajeżdżano co duchu z armatami, by je odprzodkować ku rzece.

Po chwili oba wojska nie były już więcej od siebie jak o tysiąc kroków. Dzieliło je tylko błonie rozległe, środkiem którego płynęła rzeczka.

Chwila jeszcze, i pierwsza smuga białego dymu wykwitła od strony pruskiej ku Polakom.

Bitwa była rozpoczęta.

Pan hetman sam skoczył ku Kmicicowej watażе.

— Następuj, mości Babinicz! następuj w imię Boże! ot, na tę ścianę!

I buławą wskazał błyszczący pułk rajtarji.

— Za mną! — »komenderował pan Andrzej.

I ścisnąwszy konia ostrogami, ruszył wskok z miejsca ku rzece. Nim jedno strzelenie z łuku przebiegli, konie już wzięły pęd największy i biegły ze stulonemi uszami, wyciągnięte jako charty. Jeźdźcy, pochyleni na karkach, wyjąć, smagali jeszcze rumaki, które już ziemi zdawały się nie tykać; tymże impetem wpadli w rzekę, która ich nie wstrzymała, bo trafili na obszerny bród, zupełnie płytki i piaszczysty; dopadli drugiego brzegu i skoczyli ławą dalej.

Widząc to pułk pancernej rajtarji, ruszył ku nim, z początku stępą, potem rysią, i nie szedł prędzej, — tylko gdy wataha zbliżyła się już na dwadzieścia kroków, rozległa się komenda: „Feuer!“ —i tysiące ramion, zbrojnych w pistolety, wyciągnęło się ku nadbiegającym.

Wstęga dymu przeleciała z jednego końca szeregu w drugi, potem dwie ławy jeźdźców i koni uderzyły o siebie z łoskotem. Konie wspięły się w pierwszem uderzeniu; nad głowami walczących zamigotały przez całą długość linji szable, jakby wąż błyskawiczny przeleciał z końca w koniec. Złowrogi dźwięk żelaza o hełmy i pancerze dosłyszano aż na drugiej stronie rzeki. Zdało się, że to w kuźnicach młoty biją w stalowe blachy.

Lin ja wygięła się w jednej chwili w półksiężyc, bo gdy środek rajtarji ustąpił zepchnięty pierwszem natarciem, skrzydła, na które

mniejszy impet przyszedł, stały ciągle na miejscu. Lecz i w środku pancerni żołnierze nie pozwolili się rozerwać i rozpoczęła się rzeźba straszliwa. Z jednej strony lud olbrzymi, przybrany w blachy, opierał się całą potęgą ciężaru koni, z drugiej szara ćma tatarska parła go siłą nabytego rozpędu, siekąc i tnąc z taką niepojętą szybkością, jaką tylko nadzwyczajna lekkość i ciągła wprawa dać może. Jak gdy ćma drwali rzuci się na las sosen gonnych i, słychać tylko huk siekier i raz wraz wyniosłe drzewo jakieś spada wdół z trzaskiem straszliwym, — tak co chwila któryś z rajtarów pochylał błyszczącą głowę i zwalał się pod konia. Szable Kmicicowych migotały im w oczach, oślepiały ich, furkały koło twarzy, oczu, rąk. Daremnie potężny żołnierz wzniesie do góry ciężki miecz, — nim go opuści, już czuje zimne ostrze przenikające w ciało, więc miecz wysuwa mu się z ręki, a sam pada krwawem obliczem na kark koński. I jako stado ós napadnie w ogrodach człowieka, który chciał owoce otrząsać, próżno ten trzepie rękoma, wywija się, uchyla, one umieją przeniknąć d<? twarzy, szyi i każda wbija weń ostrze kłujące, — tak ów zaciekły, a w tylu bojach wyćwiczony lud Kmicicowy rzucał się naoślep, ciął, kąsał, kłuł, szerzył strach i śmierć coraz

---

1 wysmukłych.

natarczywiej, o tyle właśnie przewyższając swych przeciwników, o ile biegły mistrz w rzemiośle przewyższa choćby silniejszego od się chłopa, któremu praktyki brakuje.

Więc poczęła rajtarja coraz gęstszym padać trupem, i środek, w którym walczył sam Kmicic, rzedniał tak bardzo, iż lada chwila mógł się już przerwać. Krzyk oficerów, zwołujących w nadwątlone miejsce żołnierzy, ginął w zgiełku i dzikich wrzaskach, szereg nie zaciskał się dość szybko, a Kmicic parł coraz potężniej. Sam zbrojny w stalową kolczugę, którą od pana Sapiehy dostał w darze, walczył jak prosty żołnierz, mając za sobą młodych Kiemliczów i Sorokę. Ci na zdrowie pana baczenie mieli dawać, i coraz to któryś odwrócił się w prawo lub lewo, zadając cios okropny, — a on rzucał się na swym cisawym koniu w gęstwę największą, i wszystkie tajemnice pana Wołodyjowskiego posiadłszy, a siłę mając olbrzymią, gasił żywoty ludzkie jak świece. Czasem całą szablą uderzy, czasem ledwie końcem dosięgnie, czasem ledwie kółeczko niewielkie, a jako piorun szybkie, zatoczy — i rajtar leci głową wdół pod konia, jakby go grom zmiótł z kulbaki. Inni cofają się przed strasznym mężem.

Wreszcie ciął pan Andrzej przez skroń chorążego, a ten zapiał tylko jak zarzynany kur i chorągiew z ręki wypuścił; w tej chwili środek się przerwał, a pomieszane skrzydła uczy-

niły dwie kupy ¡bezładne i cofające się szybko ku dalszym linjom wojsk pruskich.

Kmicic spojrzał przez rozerwany środek w głąb pola i nagłe ujrzał regiment czerwonych dragonów, lecący jak wicher w pomoc rozerwanej rajtarji.

-— Nic to! — pomyślał — za chwilę Wołodyjowski tym samym brodem przyjdzie mi w pomoc...

Tymczasem rozległ się huk armat tak gwałtowny, że ziemia zatrzęsła się w posadach; muszkiety poczęły grzechotać od okopu aż do najbardziej wysuniętych szeregów nieprzyjacielskich. Całe pole pokryło się dymem, i w tymże dymie wolentarze Kmicicowi wraz z Tatarami sczepili się z dragonją.

Ale od strony rzeki nikt nie przybywał na pomoc.

Pokazało się, że nieprzyjaciel umyślnie puścił Kmicicową watahę przez bród, — następnie począł go zasypywać tak straszliwie z dział i muszkietów, że żywa noga przejść nie mogła.

Pierwsi poszli ku niemu ludzie pana Korsaka, i powrócili w nieładzie; druga, wojniłłowiczowska, doszła do pół brodu i cofnęła się, — wprawdzie zwolna, bo był to królewski pułk, jeden z najdzielniejszych w całem wojsku, ale ze stratą dwudziestu towarzystwa, znakomitej szlachty, i dziewięćdziesięciu pocztowych.

Woda w szczerku i, który stanowił jedyne tylko przejście przez rzekę, pluskała tak pod uderzeniami kul, jak pod ciężkim ulewnym deszczem. Armatnie przelatywały na drugą stronę, rozrzucając tumany piasku.

Sam pan podskarbi nadjechał skokiem, i, popatrzywszy, uznał, że niepodobna, aby jeden żywy człek mógł przedostać się na brzeg przeciwny.

A jednak mogło to stanowić o losach bitwy. To też czoło hetmana zachmurzyło się srodze. Przez chwilę patrzył przez perspektywę na całą linję wojsk nieprzyjacielskich i krzyknął na ordynansa:

— Ruszaj do Hassuiwbeja, — niechaj orda, jako może, przeprawi się przez głęboki brzeg i na tabor niech uderzy. Co w wozach znajdą, to ich! Armat tam niemasz, jedno z rzeką będą mieli robotę.

Oficer skoczył, ile tchu w koniu; hetman zaś posunął się dalej, gdzie pod wierzbiną na łące stała chorągiew laudańska, i zatrzymał Ńę tuż przed nią.

Wołodyjowski stał na jej czele, posępny, ale milczący, jeno w oczy hetmańskie patrzył, a wąsikami ruszał.

—• Co myślisz waść? — spytał hetman — przeprawią się Tatarzy?

— Tatarzy przeprawią się, ale Kmicic zginie! — rzekł Wołodyjowski.

---

[1] tu: w piaszczystym brodzie,

— Na Boga! — krzyknął nagle hetman —■ ten Kmicic, żeby jeno miał głowę na karku, mógłby bitwę wygrać, nie zginąć!

Wołodyjowski nie odrzekł nic, jednakowoż pomyślał w duszy:

—• Nie trzeba było puszczać albo żadinej chorągwi za rzekę, albo pięć...

Przez chwilę hetman znów patrzył przez perspektywę na daleki zamęt, który za rzeką sprawował pan Kmicic; wtem mały rycerz, nie mogąc dłużej ustać, przysunął się, i trzymając szablę ostrzem do góry, rzekł:

— Wasza dostojność! gdyby rozkaz, to jabym jeszcze tego brodu spróbował?

— Stać — odrzekł dość ostro pan podskarbi. — Dość, że tamci zginą.

— Giną już! — rzekł Wołodyjowski.

Rzeczywiście zgiełk stał się wyraźniejszy i potężniał coraz bardziej. Widocznie Kmicic cofał się napowrót ku rzece.

—■ Na Boga! tegom chciał! — krzyknął nagle pan hetman, i skoczył jak piorun ku wojniłłowiczowskiej chorągwi.

Pan Kmicic zaś cofał się rzeczywiście. Po uderzeniu na czerwonych dragonów, ludzie jego cięli się z nimi, ostatka sił dobywiając; lecz tchu już brakło im w piersiach, zmachane ręce mdlały, trup padał coraz gęściej—i tylko nadzieja, że odsiecz z za rzeki przyjdzie lada chwila, podtrzymywała w nich jeszcze ducha.

Tymczasem upłynęło pół godziny i okrzyk „bij“ nie dawał się słyszeć; natomiast czerwonym dragonom skoczył na odsiecz Bogusławowy pułk ciężkiej jazdy.

— Śmierć idzie! — pomyślał Kmicic, widząc ich zajeżdżających z boku.

Lecz był to żołnierz, który do ostatniej chwili nie wątpił nigdy, nietylko o swojem życiu, ale i o wygranej. Długa i hazardowna praktyka dała mu także wielką znajomość wojny: więc nie tak szybko wieczorna błyskawica zapala się i gaśnie, jak Kmicicowi mignęła w głowie myśl następująca:

— Widocznie przez bród do nieprzyjaciela przedostać się nie mogą, — a skoro nie mogą, to im go podprowadzę...

Więc, że pułk Bogusławowy nie był już dalej jak o sto kroków, a idąc całym pędem, lada chwila mógł uderzyć i roznieść jego Tatarów, pan Andrzej podniósł piszczałkę do ust i świsnął tak przeraźliwie, że aż najbliższe konie dragońskie osadziły się na zadach.

Świst powtórzyły natychmiast inne piszczałki starszyzny tatarskiej, i nie tak prędko wicher zakręca piaskiem, jak prędko cały czambuł zwrócił konie do ucieczki.

Niedobitki rajtarji, czerwona dragonja i pułk Bogusławowy kopnęły się za nimi z kopyta.

Krzyki oficerskie: „Naprzód!“ i „Gott mit uns!“ [1] zagrzmiały jak burza — i stał się

[1] Bóg z nami!

cudny widok. Na rozległej grodzi [1] pędził bezładny i pomieszany czambuł wprost do zasypywanego kulami brodu, i rwał, jakby go skrzydła niosły. Każdy ordyniec przyległ był do konia, rozpłaszczył się, pochował w grzywie i karku, tak, iż gdyby nie chmura strzał, lecących ku rajtarji, rzekłbyś, iż same konie bez jeźdźców biegną; za nimi z hukiem, krzykiem i tętentem biegł lud olbrzymi, migocąc wzniesionemi w prawicach mieczami.

Bród był coraz bliżej; biegli staje, pół jeszcze — i widocznie konie tatarskie dobywały już ostatnich sił, bo odległość między niemi a rajtarją poczęła się zmniejszać szybko.

W kilka minut potem pierwsze rajtarskie szeregi poczęły już siec mieczami zmykających na ostatku Tatarów, bród był tuż, tuż. Zdawało się, że w kilku skokach konie go dosięgną.

Nagle stało się coś dziwnego.

Oto, gdy czambuł dobiegł brodu, przeraźliwy świst piszczałek rozległ się znowu na skrzydłach czambułu i cała wataha zamiast wpaść w rzekę, aby na drugim jej brzegu szukać ocalenia, rozdzieliła się na dwie kupy i z szybkością stada jaskółek skoczyła w prawo i w lewo, wzdłuż jej biegu.

Lecz jadące na ich karkach ciężkie pułki, których konie wzięły już największy rozpęd, wpadły tąż samą siłą w bród, i dopiero w wo-

---

[1] tu: błoniu.

dzie już jeźdźcy poczęli hamować rozhukane rumaki.

Artylerja, która dotąd zasypywała szczerk deszczem żelaza, umilkła nagle, aby swoich nie razić.

Lecz tej właśnie chwili czekał jak zbawienia hetman Gosiewski.

I jeszcze rajtarje nie dotknęły prawie wody, gdy straszna królewska chorągiew Wojniłłowiczowa ruszyła ku nim jak huragan, za nią laudańska, za nią Korsakowa, za niemi dwie hetmańskie, za niemi wolentarska, za nią pancerna księcia krajczego Michała Radziwiłła.

Krzyk straszny: „Bij, zabij!“ zagrzmiał w powietrzu, i nim pruskie pułki zdołały ściągnąć konie, zatrzymać się, zastawić mieczami, już wojniłłowiczowska rozniosła je, jak trąba powietrzna roznosi liście, zgniotła czerwonych dragonów, wsparła pułk Bogusławowy, rozbiła go na dwoje, i poniosła się w pole ku głównej armji pruskiej.

Rzeka zrumieniła się krwią w jednej chwili, armaty poczęły grać na nowo, lecz zbyt późno, bo już ośm chorągwi litewskiej jazdy mknęło z hukiem i szumem po błoniu i cała bitwa przeniosła się na drugą stronę rzeki.

Sam pan podskarbi leciał przy jednej ze swych chorągwi, z promiennem szczęściem w twarzy, a z ogniem w oczach, bo raz wyprowadziwszy jazdę za rzekę, już był pewien zwycięstwa.

Chorągwie, siekąc i bodąc na wyścigi, gnały przed sobą resztki dragonji i rajtarów, które kładły się mostem, ile że ciężkie konie nie mogły dość śpiesznie umykać i tylko zasłaniały goniących przed pociskami.

Tymczasem Waldek, Bogusław Radziwiłł i Izrael pchnęli wszystką swą jazdę, by natarcie powstrzymać, sami zaś szykowali nagwałt piechotę. Pułk za pułkiem wybiegał od taboru i osadzał się na grodzi. Wbijano ciężkie dzidy tylnemi końcami w górę, pochylając je płotem ku nieprzyjacielowi.

W drugim szeregu muszkietnicy wyciągnęli rury muszkietów. Między czworobokami pułków ustawiano na łeb na szyję armaty. Ani Bogusław, ani Waldek, ani Izrael, nie łudzili się, aby ich jazda mogła długo wręcz wytrzymać polskiej, i cała nadzieja ich była w armatach i w piechocie. Tymczasem przed piechotą już konne pułki uderzyły o siebie pierś w pierś. Ale stało się to, co przewidzieli pruscy wodzowie.

Oto natarcie litewskiej jazdy było tak straszne, że całe masy kawaletji nie mogły ani na chwilę ich powstrzymać i że pierwsza husarska chorągiew rozszczepiła ich niby klin drzewo i szła, nie krusząc kopij, wśród gęstwy, jak statek gnany gwałtownym wichrem idzie wśród fal. Już już coraz bliżej widać było proporce; po chwili łby husarskich koni wynurzyły się z tłumów pruskich.

— Baczność! — krzyknęli oficerowie, stojący w czworoboku piechoty.

Na to hasło knechtowie pruscy osadzili się silniej na nogach i wytężyli ręce, trzymając dzidy. A wszystkim serca waliły w piersiach gwałtownie, bo straszliwa husarja wynurzyła się już zupełnie i gnała wprost na nich.

— Ognia! — rozległa się znów komenda.

Muszkiety zagrzechotały w drugim i trzecim szeregu czworoboku. Dym owionął ludzi. Chwila jeszcze: huk nadlatującej chorągwi coraz bliżej. Już, już dobiegają!... Nagle, wśród dymu, pierwszy szereg piechurów spostrzega tuż nad sobą, prawie nad głowami, tysiące końskich kopyt, rozwartych chrapów, rozpalonych oczu, słychać trzask łamanych dzid; krzyk okropny rozdziera powietrze; polskie głosy wrzeszczą: „Bij!“ — niemieckie zaś: „Gott erbarme Dicli meiner!“[1]

Pułk rozbity, zgnieciony, ale między innemi poczynają grać armaty. Już inne chorągwie dobiegają; każda za chwilę uderzy się o las dzid, ale być może, że nie każda go przełamie, bo żadna nie ma w sobie tak strasznej jak Wojniłłowiczowa siły. Krzyk wzmaga się na całem pobojowisku. Nie widać nic. Lecz z masy walczącej znów poczynają bezładnie wymykać się kupy żółtych piechurów z jakiegoś innego pułku, który widocznie także został rozbity.

[1] Boże, zmiłuj się nade mną!

Jeźdźcy w szarej barwie gnają za nimi, sieką i tratują z okrzykiem:

— Lauda! Lauda!

To pan Wołodyjowski uporał się z drugim czworobokiem.

Wszelako inne „tkwią“ jeszcze; jeszcze zwycięstwo może przechylić się na stronę pruską, zwłaszcza że przy taborze stoją dwa nienaruszone regimenty, które — ponieważ tabor zostawiono w spokoju — w każdej chwili mogą być przywołane.

Waldek stracił już wprawdzie głowę, Izraela niemasz, bo z jazdą go wysłano, ale Bogusław czuwa, rządzi wszystkiem, prowadzi całą bitwę, i widząc coraz straszniejsze niebezpieczeństwo, wysyła pana Biesa po owe regimenty.

*

Pan Bies wypuszcza konia i w pół godziny wraca bez kołpaka, z przerażeniem i rozpacz;} w twarzy.

— Orda w taborze! — krzyczy, dobiegłszy do Bogusława.

Jakoż w tej chwili na prawem skrzydle rozlegają się nieludzkie wycia i zbliżają się w każdej chwili.

Nagle ukazują się gromady jeźdźców szwedzkich, pędząc w okropnym popłochu, za nimi umykają, bez broni już i bez kapeluszów, piechurowie, za nimi w zamieszaniu, w bezładzie, pędzą wozy, ciągnięte przez zhukane i przerażone konie. Wszystko to leci oślep od taboru

na własną piechotę. Za chwilę wpadną, zamieszają ją, rozbiją, zwłaszcza, że od czoła gna na nią jazda litewska.

— Hassun-bej przedostał się do taboru! — woła w uniesieniu pan Gosiewski, i puszcza ostatnie swe dwie chorągwie, jak dwa sokoły z berła.

I w tej samej chwili, gdy chorągwie owe uderzają na piechotę z czoła, jej własne wozy wpadają na nią z boku. Ostatnie czworoboki pękają jiak pod uderzeniem młota. Z całej świetnej armji szwedzko-pruskiej czyni się jedna olbrzymia kupa, w której jazda miesza się z piechotą. Ludzie tratują się wzajemnie, przewracają, duszą, zrzucają odzież, ciskają broń. Jazda prze ich, tnie, gniecie, miażdży. To już nie bitwa przegrana, *— to klęska, jedna z najokropniejszych w całej wojnie.

Lecz Bogusław, widząc, że wszystko stracone, postanawia przynajmniej siebie i nieco jazdy ocalić z pogromu.

Nadludzkiem wysileniem zbiera koło siebie kilkuset jeźdźców i wymyka w dal lewem skrzydłem, w kierunku biegu rzeki.

Już wydostał się z głównego wiru, gdy oto drugi Radziwiłł, książę Michał Kazimierz, uderza nań z boku ze swą nadworną husarją i jedńem uderzeniem rozprasza cały oddział.

Rozproszeni, uciekają pojedynczo lub małemi kupkami. Jedynie szybkością koni mogą być ocaleni.

Jakoż liusarja ich nie goni, bo uderza na główną kupę piechurów, których wycinają wszystkie inne chorągwie — więc tamci mkną, jak rozproszone stado sarn po błoniu.

Bogusław na karym Kmicicowym rumaku umyka jak wicher, próżno usiłując krzykiem skupić przy sobie choć kilkunastu ludzi. Nikt go nie słucha; każdy umyka na własną rękę, konitent, że wysunął się z pogromu i *że* nie ma już nieprzyjaciela przed sobą.

Lecz próżna radość. Nie ubiegli jeszcze tysiąca kroków, gdy wycie rozległo się nagle przed nimi i szara ćma tatarska wysunęła się od rzeki, przy której czaiła się aż dotąd.

Był to pan Kmicic ze swoją wiatahą. Wysunąwszy się z pola po przyprowadzeniu nieprzyjaciela do brodu, wrócił teraz, aby uciekającym przeciąć odwrót.

Tatarzy, widząc rozproszonych jeźdźców, w jednej chwili rozproszyli się i sami, aby ich łowić swobodniej, i rozpoczął się pościg morderczy. Po dwóch, po trzech Tatarów przebiegało jednemu rajtarowi, a ów bronił się rzadko, częściej chwytał rapier za ostrze i rękojeścią wyciągał go ku ordyńcom, wzywając miłosierdzia. Lecz ordyńcy, wiedząc, że nie odprowadzą tych jeńców do domu, brali żywcem tylko starszyznę, która mogła się wykupić; pospolity żołnierz dostawał nożem po gardle i konał, nie mogąc nawet „Gott!“ wykrzyknąć. Tych, którzy uciekali do ostatka, kłuto no-

żami w karki i plecy; tych, pod którymi nie rozpierały się konie, łowiono arkanami.

Kmicic rzucał się czas jakiś po pobojowisku, strącając jeźdźców, i szukał oczyma Bogusława; nakoniec ujrzał go i poznał natychmiast po koniu, po błękitnej wstędze i kapeluszu z czarnemi strusiemi piórami.

Chmurka białego dymu otaczała księcia, bo właśnie przed chwilą nąpadło go dwóch Noliajców, lecz on jednego powalił wystrzałem z pistoletu, drugiego przebódł nawylot rapierem, — zaczem ujrzawszy większą watahę, pędzącą z jednej, a Kmicica z drugiej strony, ścisnął konia ostrogami i pomknął jak jeleń ścigany przez psy gończe.

Przeszło pięćdziesięciu ludzi rzuciło się kupą za nim, lecz nie wszystkie konie biegły jednakowo, więc wkrótce kupa rozciągnęła się w długiego węża, którego głowę stanowił Bogusław, szyję Kmicic.

Książę pochylił się w kulbace; kary koń zdawał się ziemi nie tykać nogami, jeno czernił się na zielonej trawie, jak śmigająca nad ziemią jaskółka; cisawy wyciągał szyję nakształt żórawia, uszy stulił, i zdawał się z własnej skóry chcieć wyskoczyć. Mijali samotne krzaki wierzbowe, kępy, gaiki olszynowe; Tatarzy zostali wtyle na staję, na dwie, na trzy, a oni biegli i biegli. Kmicic wyrzucił pistolety z olster, aby koniowi ulżyć, sam zaś ze wzrokiem wbitym w Bogusława, z zaciśnię-

tern i zębami, leżąc prawie na szyi rumaka, bódł ostrogami spienione jego boki, aż wkrótce piana, spadająca na ziemię, stała się różową.

Lecz odległość pomiędzy nim a księciem nietyłko nie zmniejszyła się na jeden cal, ale poczęła się powiększać.

— Górze! — pomyślał pan Andrzej — tego konia żaden bachmat w świecie nie zgoni!

I gdy po kilku skokach odległość powiększyła się jeszcze bardziej, wyprostował się w kulbace, szablę puścił na temblak i złożywszy ręce koło ust, począł krzyczeć głosem spiżowym:

— Umykaj, zdrajco, przed Kmicicem! Nie dziś, to jutro cię dostanę!

Nagle, ledwie słowa te przebrzmiały w powietrzu, książę, który je słyszał, obejrzał się szybko, a widząc, że pan Kmicic sam go tylko goni, zamiast umykać dalej, zatoczył koło i z rapierem w ręku rzucił się ku niemu.

Pan Andrzej wydał okropny krzyk radości i, nie wstrzymując pędiu, wzniósł szablę do cięcia.

— Trup! trup! — zawołał książę.

I chcąc tern pewniej uderzyć, począł konia hamować.

Kmicic, dobiegłszy, osadził też swego, aż kopyta zaryły się w ziemi, i związał rapier z szablą.

Zwarli się tedy tak, że dwa konie uczyniły niemal jedną całość. Rozległ się straszny

dźwięk żelaza, szybki jak myśl; żadne oczy nie mogłyby ułowić błyskawicznych ruchów rapiera i szabli, ni odróżnić księcia od Kmicica. Czasem zaczernił się Bogusławowy kapelusz, czasem błysnęła Kmicicowa misiurka. Konie szły młyńcem obok siebie. Miecze dźwięczały coraz okropniej.

Bogusław po kilku uderzeniach przestał lekceważyć przeciwnika. Wszystkie straszliwe pchnięcia, których wyuczył się od mistrzów francuskich, były odbite. Już pot spływał mu obficie z czoła, mieszając się na twarzy z barwiczką i bielidłem, już czuł znużenie w prawicy... Począł go chwytać podziw, potem niecierpliwość, potem złość, — więc postanowił skończyć i pchnął okropnie, aż kapelusz spadł mu z głowy.

Kmicic odbił z taką siłą, że rapier księcia aż do boku końskiego odleciał, i nim Bogusław zdołał zastawić się na nowo, ciął go samym końcem szabli w czoło.

— Christ! [1] — krzyknął po niemiecku książę.

I zwalił się w trawę. Padł wznak.

Pan Andrzej stał przez chwilę, jakby oszołomiony, lecz oprzytomniał prędko; szablę puścił na temblak, przeżegnał się, poczem zeskoczył z konia, i chwyciwszy na nowo rękojeść, zbliżył się do księcia.

---

[1] Chryste!

Straszny był, bo blady iz umęczenia, jak chusta, wargi miał zaciśnięte i nieubłaganą nienawiść w twarzy.

Oto śmiertelny, a tak potężny wróg leżał teraz u jego nóg we krwi, żywy jeszcze i przytomny, ale zwyciężon, i nie cudzą bronią, ani też z cudzą pomocą.

Bogusław patrzył na niego szeroko otwartemi oczyma, pilnie bacząc na każdy ruch zwycięzcy, a gdy Kmicic stanął tuż nad nim, zawołał prędko:

— Nie zabijaj mnie! Okup!

Kmicic, zamiast odpowiedzieć, stanął mu nogą na piersiach i przycisnął z całej siły, poczerń sztych szabli oparł mu na gardle, aż skóra ugięła się pod ostrzem; potrzebował tylko ręką ruszyć, tylko pocisnąć mocniej, — lecz nie zabijał odrazu; chciał się jeszcze nasycić widokiem i śmierć uczynić nieprzyjacielowi cięższą. Oczy wbił w jego oczy i stał nad nim, jak stoi lew nad obalonym bawołem.

Wtem książę, któremu coraz więcej krwi wypływało z czoła, tak, iż cały wierzch głowy nurzał się jakoby w kałuży, ozwał się raz jeszcze, ale już przyduszonym głosem, bo stopa pana Andrzeja ciągle gniotła nru piersi:

— Dziewtka... słuchaj...

Ledwie pan Andrzej usłyszał te słowa, zdjął nogę z piersi książęcych i szablę podniósł.

— Mów! — rzekł.

Lecz książę Bogusław czas jakiś oddychał

tylko głęboko, wreszcie mocniejszym już głosem odpowiedział:

— Dziewtka zginie, jeśli mnie zabijesz... Rozkazy wydane!

— Coś z nią uczynił? — spytał Kmicic.

— Zaniechaj mnie, to ci ją oddam, przysięgam... na ewangelję...

Na to pan Andrzej uderzył się pięścią w czoło, przez chwilę znać było, że walczy ze sobą i ze swemi myślami, poczem rzekł:

— Słuchaj, zdrajco! Jabyrn stu takich wyrodków za jeden jej włos oddał!... Ale ja tobie nie wierzę, krzywoprzysięzco!

— Na ewangelję! — powtórzył książę. — Dam ci glejt i rozkaz na piśmie.

— Niechże tak będzie, daruję cię zdrowiem, ale cię z rąk nie puszczę. Dasz mi -na piśmie... Tymczasem Tatarom cię oddam, u których w niewoli będziesz.

— Zgoda — rzekł książę.

— Pamiętaj! — odrzekł pan Andrzej. — Nie uchroniło cię przed moją ręką twoje księstwo, twoje wojska, twoje szermierstwo... I wiedz, że ilekroć mi wejdziesz w drogę, albo nie do-trzymasz-li słowa, nic cię nie uchroni, choćby cię cesarzem niemieckim kreowano... Poznajże mnie! Raz cię już miałem w ręku, teraz mi pod nogami leżysz!

— Przytomność mnie -opuszcza — rzekł książę. — Panie Kmicic, woda musi tu być blisko... Daj mi pić i ranę zalej.

— Zdychaj parrycydo! — odrzekł Kmicic.

Lecz książę, bezpieczen już o życie, odzyskał, lubo ranny, całą pewność siebie i ozwał się:

— Głupiś, panie Kmicic! Jeśli umrę i ona...

Tu wargi mu zbielały.

Kmicic zaś skoczył szukać, czy w okolicy niema jakiego rowu lub też kałuży.

Książę omdlał, ale na krótką chwilę — i obudził się na szczęście swoje, gdyż tymczasem nadbiegł pierwszy Tatarzyn, Selim, syn Gazy-agi, chorąży z Kmicicowej watahy, a widząc broczącego we krwi nieprzyjaciela, postanowił przyszpilić go grotem od chorągwi do ziemi. Książę w tej chwili strasznej znalazł jeszcze tyle sił, że za grot ręką pochwycił, który słabo przytwierdzon, oderwał się od drzewca.

Odgłos tej krótkiej walki ściągnął napowrót pana Andrzeja.

— Stój! psi synu! — zakrzyknął, nadbiegając zdaleka.

Tatar na dźwięk znanego głosu przyległ ze strachu do konia. Kmicic kazał mu ruszyć po wodę, sam zaś został przy księciu, bo zdała widać było nadjeżdżających wskok Kiemliczów, Sorokę i cały czambuł, który wyłowiwszy wszystkich rajtarów, puścił się na poszukiwanie wodza.

Ujrzawszy pana Andrzeja, wierni Nohajcy wyrzucili z gromkim okrzykiem czapki w górę.

Akbah-Ułan zeskoczył z konia i począł mu się kłaniać, dotykając ręką czoła, ust i piersi. Inni, cmokając po tataraku ustami, patrzyli z drapieżnością w oczach na leżącego rycerza, a z podziwem na jego zwycięzcę; niektórzy ruszyli łapać dwa konie, cisawego i karego, które biegały opodal z rozwianemi grzywami.

— Akbahu-Ułanie, — rzekł Kmicic, — to jest wódz wojsk, które pobiliśmy dziś rano: książę Bogusław Radziwiłł. Daruję wam go, a wy go trzymajcie, bo za żywego, czy za umarłego zapłacą wam sowicie. Teraz opatrzyć go, wziąć na arkan i zaprowadzić do obozu!

— Ałła! ałła! Dziękujem wodzu! dziękujem zwycięzco! — zawołali jednym głosem ordyńcy.

I znów rozległo się cmokanie tysiąca warg.

Kmicic kazał sobie podać konia, siadł, i puścił się z częścią Tatarów ku polu bitwy.

Zdała już ujrzał chorążych, stojących ze znakami, ale przy chorągwiach było zaledwie po kilkunastu towarzystwa, reszta zagnała się za nieprzyjacielem. Gromady czeladzi kręciły się po pobojowisku, obdzierając trupy i czubiąc się tu i owdzie z Tatarami, którzy czynili to samo. Szczególnie ci ostatni wyglądali poprostu strasznie, z nożami w ręku i ubroczonemi po łokcie rękoma. Rzekłbyś, stado kruków sipadło z chmur na pobojowisko. Dzi-

kie icli śmiechy i wrzaski rozlegały się po calem polu.

Niektórzy, trzymając dymiące jeszcze noże w wargach, ciągnęli obu rękoma za nogi poległych, inni rzucali w siebie z żartów odciętemi głowami, inni ładowali sakwy, inni jak na bazarze podnosili w górę pokrwawione szaty, zachwalając ich doskonałość, lub oglądali broń zdobytą.

Kmicic przejechał naprzód przez pole, na którem pierwszy spotkał się z rajtarją. Trupy ludzkie i końskie, pocięte mieczami, leżały tu w rozproszeniu; lecz tam, gdzie chorągwie cięły piechotę, wznosiły się ich całe stosy, a kałuże zakrzepłej już krwi pluskały pod kopytami końskiemi nakształt błota.

Trudno było tamtędy przejechać wśród szczątków połamanych dzid, muszkietów, trupów, poprzewracanych wozów taborowych i uwijających się kup Tatarstwa.

Pan Gosiewski stał dalej jeszcze na okopie warownego obozu, a przy nim książę krajczy Radziwiłł, Wojniłłowicz, Wołodyjowski, Korsak i kilkudziesięciu ludzi. Z wysokości tej ogarniali oczyma pole aż hen, do najdalszych krańców, i mogli cały rozmiar swego zwycięstwa a nieprzyjacielskiej klęski ocenić.

Kmicic, ujrzawszy panów, przyśpieszył kroku, a pan Gosiewski, jako że był nietylko wojennik szczęśliwy, ale i człowiek zacny, bez

cienia zazdrości w sercu, ledwie go ujrzał, zakrzyknął :

— Oto przybywa victor prawdziwy ! Za jego to przyczyną ta potrzeba wygrana, ja pierwszy publicznie to oświadczam. Mości panowie! dziękujcie panu Babiniczowi, bo gdyby nie on, nie dostalibyśmy się przez rzekę!

— Vivat Babinicz! — krzyknęło kilkadziesiąt głosów — vivat! vivat!

— Gdzieś ty się, żołnierzu, wojny uczył, — spytał z uniesieniem hetman — żeś tak odrazu zrozumiał, co czynić należy?

Kmicic nie odpowiadał, bo nadto był utrudzon, tylko się kłaniał na wszystkie strony i ręką po zabrukanej od potu i prochowego dymu twarzy wodził. Oczy świeciły mu blaskiem nadzwyczajnym, a tymczasem wiwaty brzmiały ciągle. Oddział za oddziałem nadciągał z pola na spienionych koniach, i co który nadciągnął, łączył się z całej piersi z głosami na cześć Babinicza. Czapki wylatywały w górę, kto bańdolety miał niewystrzelone, ten ognia dawał.

Nagle pan Andrzej stanął w kulbace i podniósłszy obie ręce do góry, huknął jak grzmot :

— Vivat Jan Kazimierz! pan nasz i ojciec miłościwy !

Tu powstał taki krzyk, jakby nowa bitwa się zaczęła. Zapał niewypowiedziany ogarnął wszystkich.

Książę Michał odpasał szablę z pochwą diamentami sadzoną i oddał ją Kmicicowi, hetman delję własną kosztowną zarzucił mu na ramiona, a on znów wzniósł ręce do góry:

— Vivat nasz hetman, wódz zwycięski!

— Grescat! floreat! [1] — odpowiedziano chórem.

Zaczem poczęto chorągwie zdobyte zwozić i zatykać w wale pod nogami wodzów. Ani jednej nie uniósł nieprzyjaciel: były pruskie komputowe, pruskie pospolitego ruszenia, szlacheckie, były szwedzkie, Bogusławowe, — cała ich tęcza powiała u wału.

— Jedna to z największych wiktoryj w tej wojnie! — zawołał hetman. — Izrael i Waldek w niewoli, pułkownicy polegli lub w niewoli, wojsko w pień wycięte...

Tu zwrócił się do Kmicica :

— Panie Babinicz, waść w tamtej stronie z Bogusławem musiałeś się spotkać... Co się z nim dzieje?

Tu i pan Wołodyjowski począł pilnie patrzeć w oczy Kmicica, ów zaś odrzekł spiesznie :

— Księcia Bogusława Bóg pokarał tą oto ręką !

To rzekłszy, wyciągnął prawicę, lecz w tej chwili mały rycerz rzucił mu się w objęcia.

— Jędrek! — krzyknął — nie zajrzę ci! [2] Niech cię Bóg błogosławi!

---

[1] niech rośnie! niech kwitnie! [2] nie jestem (o to) zawistny.

— Tyś to mi rękę formował! — odrzekł z wylaniem pan Andrzej.

Lecz dalszy wylew braterskich uczuć powstrzymał książę krajczy.

— Zali brat mój zabit? — spytał żywo.

— Nie zabit, — odparł Kmicic, — bom mu życie darował, ale ranny i pojman. A owo, tam ot, prowadzą go moi Nohajcy!

Na te słowa zdumienie odmalowało się w twarzy pana Wołodyjowskiego, a oczy rycerstwa zwróciły się ku równinie, na której ukazał się oddział kilkudziesięciu Tatarów i zbliżał się wolno; nakoniec, minąwszy kupy połamanych wozów, przysunął się o kilkadziesiąt kroków do okopu.

Wówczas ujrzano, że jadący w przodzie Tatar prowadzi jeńca; poznali wszyscy Bogusława, lecz w jakiejże losów odmianie!...

On, jeden z najpotężniejszych panów w Rzeczypospolitej, on, który wczoraj jeszcze o państwie udzielnem marzył, on, książę Rzeszy Niemieckiej, szedł teraz z arkanem na szyi, pieszo, przy koniu tatarskim, bez kapelusza, z krwawą głową, obwiązaną w brudną szmatę. Taka jednak zawziętość była przeciw temu magnatowi w sercach rycerstwa, że straszne to upokorzenie nie wzbudziło niczyjej litości, owszem wszystkie niemal usta zawrzasły w jednej chwili:

— Śmierć zdrajcy! Na szablach go roznieść! śmierć! śmierć!

A książę Michał oczy ręką zatkał, bo przecie to Radziwiłła prowadzono w takiem upodleniu. Nagle poczerwieniał i krzyknął:

— Mości panowie! to mój brat, to moja krew, a jam ni zdrowia, ni mienia nie żałował dla ojczyzny! Wróg mój, kto na tego nieszczęśnika rękę podniesie.

Rycerze umilkli zaraz.

Księcia Michała kochano powszechnie za męstwo, hojność i serce wylane dla ojczyzny. Wszakże, gdy cała Litwa wpadła w moc hiperborejską, on jeden bronił się w Nieświeżu, za wojen szwedzkich wzgardził namowami Janusza i jeden z pierwszych przystał do konfederacji tyszowieckiej, — więc też głos jego znalazł i teraz posłuch. Wreszcie, może nikt nie chciał narazić się tak potężnemu panu, — dość, że szable schowały się zaraz do pochew, a nawet kilku oficerów, klientów radziwiłłowskich, zawołało:

— Odjąć go Tatarom! Niech go Rzeczpospolita sądzi, ale nie dajmy poniewierać krwi zacnej poganom!

— Odjąć go Tatarom! — powtórzył książę — Znajdziemy zakładnika, a okup on sam zapłaci! Panie Wojniłłowicz, rusz-no swoich ludzi i niech siłą go wezmą, jeśli inaczej nie będzie można!

— Ja się jako zakładnik Tatarom ofiaruję! — zawołał pan Gnoiński.

Tymczasem Wołodyjowski przysunął się do Kmicica i rzeki:

— Jędrek! coś ty najlepszego uczynił? Toż on cało wyjdzie z tych terminów!

Na to Kmicic skoczył jak ranny żbik.

— Za pozwoleniem, mości książę! — krzyknął. — To mój jeniec! Jam go zdrowiem darował, ale pod kondycjami, które mi na swoją heretycką ewangelję zaprzysiągł, i niech trupem padnę, jeśli wyjdzie z rąk, w które go oddałem, nim mi wszystkiego dotrzyma!

To rzekłszy, zdarł konia, zastawił drogę, i już już wrodzona popędliwość poczęła go unosić, bo twarz mu się skurczyła, rozdął nozdrza i oczyma błyskawice jął rzucać.

A tymczasem pan Wojniłłowicz nacisnął go koniem.

— Nabok, panie Babinicz! — zakrzyknął.

— Nabok, panie Wojniłłowicz!-------- wrzasnął pan Andrzej, i uderzył rękojeścią szabli wojniłłowiczowskiego konia z tak straszną siłą, że rumak zachwiał się na nogach, jakby uderzony kulą, i nozdrzami zarył w ziemię.

Stał się tedy huk srogi między rycerstwem, aż pan Gosiewski wysunął się naprzód i rzekł:

— Milczeć waszmościom! Mości książę! z mocy mojej władzy hetmańskiej oświadczam, że pan Babinicz ma prawo do jeńca, i że kto clice go z rąk tatarskich wydobyć, musi dać jego zwycięzcy porękę!

Książę Michał opanował wzburzenie, uspokoił się i rzekł, zwracając mowę do pana Andrzeja:

— Mów waść, czego chcesz?

— By mi kondycyj dotrzymał, zanim z niewoli wyjdzie.

— To ci dotrzyma wyszedłszy.

— Nie może być! Nie wierzę!

— Tedy ja za niego przysięgam na Matkę Najświętszą, którą wyzna ję, i na parol rycerski, że wszystko ci będzie dotrzymane. W przeciwnym razie możesz mnie na honorze i majętności poszukiwać.

— Dość mi! — rzekł Kmicic. — Niech pan Gnoiński na zakładnika jedzie, bo inaczej Tatarzy opór stawią. Ja poprzestaję na słowie.

— Dziękuję ci, panie kawalerze! — odrzekł książę krajczy. — Nie bój się także, aby wolność zaraz odzyskał, bo go panu hetmanowi z prawa oddam i jeńcem aż do królewskiego wyroku zostanie.

— Tak będzie! — rzekł hetman.

I rozkazawszy Wojniłłowieżowi siąść na świeżego konia, bo tamten ledwie już drgał, wysłał go wraz z panem Gnoińskim po księcia.

Lecz sprawa nie poszła jeszcze łatwo. Jeńca trzeba było siłą brać, bo sam Hassun-bej stawił groźny opór i dopiero widok pana Gnoińskiego i umówiony okup stu tysięcy talarów zdołał go uspokoić.

Zaczem wieczorem książę Bogusław znajdował się już w namiotach ipana Gosiewskiego. Opatrzono go tam starannie, dwóch medyków nie opuszczało go ani chwili i obaj ręczyli za jego zdrowie, gdyż rania, jako zadana samym końcem szabli, nie była zbyt ciężką.

Pan Wołodyjowski nie mógł przebaczyć Kmicicowi, że księciu życie darował, i z żalu unikał go oały dzień, dopiero wieczorem sam pan Andrzej przyszedł do jego namiotu.

— Bój się ran Boskich! — wykrzyknął na jego widok mały rycerz. — Prędzejbym się po każdym tego spodziewał, aniżeli po tobie, że żywcem tego zdrajcę wypuści!...

— Słuchaj mnie, Michale, zanim potępisz — odrzekł ponuro Kmicic. — Miałem go już pod nogą i sztych trzymałem mu przy gardzieli, a wówczas, wiesz, co mi ten zdrajca rzekł?... Oto, że są rozkazy wydane, aby Oleńkę na gardle w Taurogaćh karano, jeśli on zginie... Com miał nieszczęsny czynić? Kupiłem jej życie za jego życie... Com miał czynić?... na krzyż Chrystusów!... Com miał czynić?

Tu zaczął targać się za czuprynę pan Andrzej i nogami z uniesienia tupał, a pan Wołodyjowski zamyślił się przez chwilę, poczein rzekł:

— Pojmuję twoją desperację... ale zawsze... tyś, widzisz, zdrajcę ojczyzny wypuścił, który ciężkie paroksyzmy na Rzeczpospolitą w przyszłości sprowadzić może... Niema co, Jędrek!

Zasłużyłeś się dzisiaj okrutnie, aleś wkońcu dobro publiczne dla prywaty poświęcił.

— A ty, ty sam, cobyś uczynił, gdyby ci powiedziano, że nóż na gardle panny Anny Borzoboliatej trzymają?...

Wołodyjowski począł okrutnie wąsikami ruszać.

— Jać się za przykład nie podawani. Hm! cobym uczynił?... Ale Skrzetuski, który ma duszę rzymską, tenby go nie żywił, a przecie jestem pewien, że Bóg nie pozwoliłby, aby krew niewinna dlatego została rozlana.

— Niechże ja pokutuję. Ukarz mnie Boże, nie wedle winy mej ciężkiej, jeno wedle Twojego miłosierdzia, — bo żeby wyrok na tego gołębia podpisać...

Tu Kmicic oczy zatkał.

— Ratujcież mnie anieli! Nigdy! nigdy!

— Stało się! — rzekł Wołodyjowski.

Na to pan Andrzej wydobył z zanadrza papiery.

— Patrz, Michale! oto, com zyskał. To rozkaz do Sakowicza, to do wszystkich oficerów radziwiłłowskicli i do komendantów szwedzkich... Kazali mu podpisać, choć ledwo ręką ruszał... Książę krajczy sam pilnował... Oto jej wolność, jej bezpieczeństwo! Dla Boga, krzyżem będę przez rok codzień leżał, kańczugami ciąć się każę, kościół nowy będę erygował i, ale jej życia nie poświęcę! Nie mam

[1] fundował.

rzymskiej duszy... dobrze! Nie jestem Katonem, jako pan Skrzetuski... dobrze! Ale nie poświęcę! nie, do stu piorunów! — i niechaj mnie w ostatku w piekle na rożen...

Kmicic nie dokończył, bo pan Wołodyjowski skoczył i zatkał mu usta ręką, krzyknąwszy przeraźliwym głosem:

— Nie bluźnij! bo na nią pomstę Bożą ściągniesz ! Bij się w piersi! żywo, żywo!

I Kmicic począł się walić w piersi: „Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!“ — Nareszcie ryknął wielkim płaczem biedne żołnierzysko, bo już sam nie wiedział, co ma czynić.

Wołodyjowski pozwolił mu się wypłakać dowoli, wreszcie, gdy się uspokoił, spytał go:

— A co teraz przedsięweźmiesz?

— Pójdę z watahą, gdzie mnie posłano, aż hen! pod Birże! Niech jeno ludzie i konie odetchną. Po drodze, co będę mógł heretyckiej krwi na chwałę Bożą rozlać, to jeszcze rozleję.

— I będziesz miał zasługę. Nie trać fantazji, Jędrek. Bóg miłosierny!

— Pójdę prosto, jako sierpem rzucił. Całe Prusy teraz stoją otworem, chyba gdzieniegdzie małe prezydja nadybię.

Pan Michał westchnął:

— Ej, poszedłbym z tobą z taką ochotą, jakby do raju! Ale komendy trzymać się muszę. Szczęśliwyś ty, że wolentarzami dowo-

dzisz... Jędrek! słuchaj, bracie!... a jak je obie odnajdziesz, to... opiekujże się i tamtą, aby zaś jej źle nie było... Bóg wie, może mi ona pisana...

To rzekłszy, mały rycerz rzucił się w objęcia pana Kmicica.

ROZDZIAŁ III.

Oleńka i Anusia, wydostawszy się pod opieką Brauna z Taurogów, dotarły szczęśliwie do partji pana miecznika, który stał podówczas pod Olszą, zatem od Taurogów niezbyt daleko.

Stary szlachcic, gdy je obie w dobrem zdrowiu zobaczył, naprzód oczom własnym wierzyć nie chciał, potem zapłakał z radości, a następnie wpadł w taki wojowniczy zapał, iż nie było już dla niego niebezpieczeństw. Niechby nietylko Bogusław, ale sam król szwedzki z całą potęgą nastąpił, pan miecznik gotów był bronić swoich dziewczyn przed wszelkim nieprzyjacielem.

— Pierwej polegnę, — mówił, — niż włos wam z głowy spadnie. Nie ten ja już człowiek, któregoście znały w Taurogach, i tak myślę, że długo popamiętają Szwedzi Girlakole, Jaswojnię i te cięgi, które im pod samemi Rosieniami zadałem. Prawda, że zdrajca Sakowicz napad! nas niespodzianie i rozproszył, ale oto znów kilkaset szabel ma się na usługi.

Pan miecznik niebardzo przesadzał, bo rzeczywiście trudno w nim było poznać upadłego na duchu taurożańskiego jeńca. Inną wcale miał fantazję; energja jego odżyła; w polu, na koniu, znalazł się w swoim żywiole, a będąc żołnierzem dobrym, rzeczywiście kilkakrotnie już Szwedów mocno poszarpał. Że zaś wielką miał powagę w okolicy, więc też kupiła się do niego chętnie szlachta i lud prosty, a i z dalszych powiatów raz wraz któryś z Billewiczów przyprowadzał po kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt koni.

Part ja miecznikowa składała się z trzystu piechoty chłopskiej i około pięciuset jeźdźców. W piechocie rzadko kto miał rusznicę, większość zbrojna była w kosy i widły; jazda stanowiła zbieraninę zamożniejszej szlachty, która z czeladzią w lasy ruszyła, i uboższej z zaścianków. Uzbrojenie jej lepsze było, niż piechoty, ale bardzo rozmaite. Tyki chmielowe służyły wielu za kop je; inni nosili broń rodzinną bogatą, ale częstokroć zeszłowieczną; konie rozmaitej krwi i dobroci nie nadawały się do jednego szeregu.

Mógł miecznik z takiem wojskiem zastępować drogę patrolom szwedzkim, mógł wycinać większe nawet oddziały jazdy, mógł oczyszczać lasy i wsie z grasantów, których liczne watahy, złożone ze zbiegów szwedzkich, pruskich i miejscowych łotrzyków, trudniły się rozbojem, ale nie mógł na żadne miasto uderzyć.

Owóż Szwedzi zmądrzeli jiuż. Zaraz po wybuchu powstania wycięto na całej Żmudzi i Litwie tych, którzy w kwaterach rozproszeni po wsiach stali; teraz więc ci, którzy ocaleli, trzymali się naprędce obwarowanych miast, z których wychylali się tylko na bliższe ekspedycje. Stało się zatem, że pola, lasy, wioski i pomniejsze miasteczka były w ręku polskich, a zato wszystkie większe grody dzierżyli Szwedzi i rugować ich nie było sposobu.

Miecznikowa partja była jedną z najlepszych; inne mniej jeszcze mogły wskórać. Na granicy Inflant powstańcy uzuchwalili się wprawdzie tak dalece, że po dwakroć Birże obiegli, które za drugim razem zmuszone były poddać się, — ale chwilowa ta przewaga wypłynęła stąd, że de la Gardie pościągał na obronę Rygi przeciw carskiej potędze wszystkie wojska z pogranicznych Inflantom powiatów.

Świetne jego i rzadkie w dziejach zwycięstwa kazały się jednak spodziewać, że tamta wojna wkrótce zostanie ukończoną, a potem na Żmudź nadciągną nowe i upojone triumfami wojska szwedzkie. Wszelako tymczasem dość było w lasach bezpiecznie i liczne partje powstańcze, same niewiele zdolne przedsięwziąć, mogły być wszelako pewne, że ich nieprzyjaciel po zapadłych puszczach szukać nie będzie.

Dlatego pan miecznik porzucił myśl 'schronienia się do puszczy Białowieskiej, bo droga

do niej była bardzo daleka, a po drodze siła miast znacznych, opatrzonych w liczne prę-ży d ja.

— Pan Bóg dał suchą jesień, — mówił do swoich dziewcząt, — ‘zaczem i łatwiej żyć sub Jove. Każę wam namiocik foremny sporządzić, babę do usług wam dam, i zostaniecie w obozie. Niemasz w tych czasiech bezpieczniejszego schronienia jak w lasach. Billewicze moje do-cna spalone; na dwory grasanci nachodzą, a często i podjazdy szwedzkie. 'Gdzie wam bezpieczniej głowy przytulić, jako przy mnie, który kilkaset szabel mam do rozporządzenia? Przyjdą zaś później słoty, to wam 'się jaką chacinę w głębokich ostępach [1] wynajdzie.

Myśl ta podobała się bardzo pannie Borzobohatej, bo w partji było kilku młodych Billewiczów, grzecznych kawalerów, a wreszcie mówiono bezustanku, że pan Babinicz w te strony ciągnie.

Spodziewała się tedy Anusia, że, nadciągnąwszy, w mig Szwedów wyżenie, a potem... potem będzie, co Bóg da. Oleńka sądziła również, że najbezpieczniej przy partji, chciała się tylko od Taurogów oddalić, pościgu Sakowicza się obawiając.

— Pójdźmy ku Wodoktom, — rzekła, — tam będziem między swymi. Choćby też' były spalone, są Mitruny i wszystkie zaścianki okoliczne. Niepodobna, by cały kraj tamtejszy

[1] zapadłych kątach lasu.

w pustynię miał być zmieniony. Lauda w razie niebezpieczeństwa będzie nas bronić.

— Ba, wszyscy laudańscy z Wołodyjowskim wyszli — zaoponował młody Jur Billewicz.

— Zostali starzy i wyrostki, wreszcie nawet niewiasty tamtejsze bronić się w razie potrzeby umieją. Puszcze tam także większe, niż tu; Domaszewicze Myśliwi, albo Gościewicze Dymni do Rogowskiej nas zawiodą, w której żaden nieprzyjaciel nas nie odnajdzie.

— A ja taborek i was ubezpieczywszy, będę na Szwedów wypadał i znosił tych, którzy się na brzegi puszczańskie odważą — rzekł pan miecznik. — To jest przednia myśl! Nic tu po nas, tam większe usługi oddać można.

Kto wie, czy miecznik nie dlatego chwycił się tak skwapliwie rady panny Aleksandry, że w duszy także nieco się Sakowicza obawiał, który do rozpaczy przywiedzion, mógł być straszny.

Rada jednak była sama w sobie mądra, dlatego wszystkim odrazu przypadła do smaku, więc miecznik tego samego jeszcze dnia wysłał pod dowództwem Jura Billewicza piechotę, aby się przedzierała lasami w kierunku Krakinowa; sam zaś z jazdą ruszył w dwa dni później, zasięgnąwszy wprzód dokładnych wieści, czy z Kiejdan lub z Rosień, między któremi rnusiał przechodzić, nie wyszły jakie znaczniejsze szwedzkie wojska.

Szli zwolna i ostrożnie. Panny jechały na chłopskich wózkach, a czasami na podjezdkach, o które miecznik się wystarał.

Anusia, dostawszy w darze od Jura lekką szahelkę, przewiesiła ją mężnie przez siebie na jedwabnych rapciach, i w kołpaczku, nałożonym z fantazją na głowę, oganiała, niby jaki rotmistrz, chorągiew. Bawił ją pochód i szable błyszczące w słońcu i rozkładane nocą ogniska. Zachwycali się nią wielce młodzi oficerowie i żołnierze, a ona strzygła oczyma na wszystkie strony, rozpuszczała w pochodzie warkocze, poto, by je po trzy razy na dzień zaplatać nad brzegami jasnych strumieni, które zastępowały jej zwierciadło. Mówiła często, że chce widzieć bitwę, aby dać przykład męstwa, ale w rzeczy samej wcale nie pragnęła 'bitwy; chciała tylko pogrążyć serca wszystkich młodych wojowników, jakoż i pogrążyła ich liczbę niepomierną.

Oleńka także jakoby na nowo odżyła po opuszczeniu Taurogów. Tam zabijała ją niepewność losu i ciągła obawa, teraz czuła się bezpieczniejszą w głębinach leśnych. Zdrowe powietrze wracało jej siły. Widok żołnierstwa, broni, ruch i gwar obozowy, działały jak balsam na zmęczoną jej duszę. I jej również sprawiał przyjemność pochód wojsk, a możliwe niebezpieczeństwa nie przestraszały bynajmniej, bo przecie rycerska krew płynęła w jej żyłach. Mniej okazując się żołnierzom, nie po-

zwalając sobie buszować na podjezdku[1] przed szeregami, mniej też ściągała na się oczu. Ale natomiast otaczał ją szacunek powszechny.

Uśmiechały się wąsate twarze żołnierskie na widok Anusi, a odkrywały się głowy, gdy Oleńka zbliżała się do ognisk. Szacunek ów zmienił się później w uwielbienie. Nie było też bez tego, by jakie serce nie zabiło dla niej w młodej piersi, jeno że oczy nie śmiały na nią patrzeć tak wprost, jak na ową czarnuszkę-ukrainkę.

Szli lasami, zaroślami, często wysyłając przed sobą zwiady, i aż dopiero siódmego dnia przybyli późną już nocą do Lubicza, który leżał na skraju laudańskiej okolicy, stanowiąc jakoby wrota do niej. Konie tak były dnia tego zmęczone, że, mimo przedstawień Oleńki, niepodobna było ruszyć dalej, więc miecznik zakazał dziewczynie wydziwiać [2] i roztasował partję na nocleg. Sam z pannami stanął we dworze, bo i czas był mglisty, a chłodny bardzo. Dziwnym trafem dwór nie był spalony. Nieprzyjaciel oszczędził go prawdopodobnie z polecenia księcia Janusza Radziwiłła, dlatego, że był Kmicicowy, a chociaż później książę dowiedział się o odstępstwie pana Andrzeja, zapomniał lub nie miał czasu wydać nowych rozkazów. Powstańcy uważali całą majętność za billewiczowską własność, grasanci

---

[1] koniku. [2] tu: grymasić.

nie śmieli rabować pod bokiem Landy. Więc nie zmieniło się w nim nic. Oleńka wchodziła ze strasznem uczuciem bólu i goryczy pod ten dach. Znała tu każdy kąt, lecz niemal z każdym łączyło się jakoweś wspomnienie Kmicicowego występku. Oto przed nią sala jadalna, ubrana w konterfekty Billewiczów i w czaszki leśnego zwierza. Potrzaskane kulami czaszki są jeszcze na gwoździach, poclilastane szablami portrety spoglądają surowo ze ścian, jakoby chciały mówić: „Patrz dziewczyno, patrz nasza wnuczko, to on świętokradzką ręką pociął wizerunki nastzych ziemskich postaci, dawno spoczywających już w grobach!“

Oleńka czuła, że oczu nie zmruży w tym domu splamionym. Zdało jej się, że w ciemnych kątach komnat snują się jeszcze widma strasznych kompanjonów, buchające ogniem z nozdrzy. I jakże prędko przechodził ten człowiek, tak przez nią kochany, od swawoli do występku, od występku do coraz większych zbrodni, od porąbania wizerunków do rozpusty, do spalenia Upity i Wołmontowicz, do porwania jej samej z Wodoktów, dalej do służby radziwiłłowskiej, do zdrady, ukoronowanej obietnicą podniesienia ręki na króla, na ojca całej Rzeczypospolitej...

Noc biegła, a sen nie chwytał się powiek nieszczęsnej Oleńki. Wszystkie rany duszy odnowiły się w niej i poczęły piec boleśnie. Wstyd na nowo palił jej policzki; oczy nie

roniły w tej chwili łez, ale serce ogarniała taka żałość niezmierna, że nie mogąca się w tern biednem sercu pomieścić...

Żałość za czem? Za tern, coby być mogło, gdyby on był inny, gdyby przy swych narowach, dzikości i swawoli choć serce przynajmniej miał uczciwe, gdyby wreszcie miał choć miarę w zbrodni, gdyby istniała jakaś granica, przez którąby przejść nie był zdolen. Przecie jej serce przebaczyłoby tak wiele...

Spostrzegła mękę towarzyszki Anusia i dorozumiała się powodu, bo jej poprzednio już całą historję stary miecznik wyśpiewał, — więc mając serce dobre, podeszła ku pannie Billewiczównie, i zarzuciwszy jej ręce na szyję, rzekła:

— Oleńka! ty w tym domu od boleści się wijesz... .BUM

Oleńka z początku nie chciała nic mówić, jeno poczęła się trząść całem ciałem, jako osinowy liść, a wkońcu płacz straszny, rozpaczliwy, wyrwał się z jej piersi. Chwyciwszy konwulsyjnie rękę Anusi, głowę swą jasną wsparła na jej ramieniu, i łkanie targało nią jak wicher krzewem.

Anusia długo czekać musiała, zanim przeszło, wreszcie, gdy Oleńka uspokoiła się nieco, ozwała się poci cl h i:

— Oleńka, módlmy się za niego...

A tamta obu rękoma zakryła oczy.

— Nie... mogę!... — rzekła z wysileniem.

I po chwili, zagarniając gorączkowo wtył włosy, które opadły jej na skronie, poczęła mówić zdyszanym głosem:

— Widzisz... nie mogę... Ty szczęśliwa!... Twój Babinicz zacny, sławny... przed Bogiem... i ojczyzną... Ty szczęśliwa! Mnie się nie wolno nawet modlić... Tu wszędy krew ludzka... zgliszcza! Żeby choć ojczyzny nie zdradził! żeby się króla sprzedać nie podjął!... Ja poprzednio już wszystko przebaczyłam... w Kiejdan-ach... bom myślała... bo miłowałam go... z całego serca!... Ale teraz nie mogę... O Boże miłosierny! nie mogę!... Chciałabym sama nie żyć... i żeby on już nie żył!

Na to Anusia:

— Za każdą duszę modlić się wolno, bo Bóg miłosierniejszy od ludzi i przyczyny wie, których ludzie często nie wiedzą.

To rzekłszy, klękła do modlitwy, a Oleńka rzuciła się krzyżem na ziemię i przeleżała tak aż do rana.

Nazajutrz gruchnęła wieść po okolicy, że pan miecznik Billewicz jest na Laudzie. Na tę wieść, kto żyw był, wychodził witać. Więc z lasów okolicznych wychodzili starcy zgrzybiali i niewiasty z dziećmi małemi. Dwa lata nie siał już nikt, nie orał w zaściankach. Same zaścianki były częścią spalone i puste. Ludność żyła w lasach. Mężowie w sile wieku poszli z panem Wołodyjowskim lub do różnych partyj, tylko wyrostkowie strzegli i bronili

resztek dobytku i bronili dobrze, ale pod osłoną puszcz.

Witano tedy miecznika, jak zbawcę, wielkim płaczem radości, bo tym prostym ludziom zdało się, że kiedy miecznik przyszedł i „panna“ wraca do dawnego gniazda, to już musi być wojnie i klęskom koniec. Jakoż zaraz poczęli wracać do zaścianków i zganiać półdziki dobytek z najgłębszych ostępów.

Szwedzi siedzieli wprawdzie niedaleko, obwarowani szańcami w Poniewieżu, ale wobec miecznikowej siły i innych okolicznych partyj, które można było przywołać w razie potrzeby, mniej już na nich zważano.

Pan Tomasz zamierzał nawet uderzyć na Poniewież, aby całkiem powiat oczyścić; czekał tylko, by jeszcze więcej luda zebrało się pod jego chorągiew, a zwłaszcza by jego piechocie dostarczono strzelb, których znaczną liczbę mieli ukrytą w lasach Domaszewicze Myśliwi; tymczasem oglądał się po okolicy, przejeżdżając od wioski do wioski.

Ale smutna to była lustracja. W Wodoktach dwór był spalony i połowa wsi; Mitruny również; Wołmontowicze i Butrymów, które swego czasu spalił Kmicic, odbudowały się po pożarze i dziwnym trafem ocalały; zato Drożejkany i Mozgi Domaszewiczów były spalone docna; Pacunele do połowy, Morozy całkiem, Goszczuny najsroższego losu doznały, bo i ludność była do połowy w pień wycięta,

a wszyscy mężczyźni, od starców do kilkunastoletnich chłopaków, mieli z rozkazu pułkownika Rosy poucinane ręce.

Tak wojna deptała strasznie te okolice, takie były skutki zdrady księcia J anusza Radziwiłła.

Lecz nim miecznik skończył lustrację i postawił swoje chorągwie piechoty, przyszły znów wieści radosne zarazem i straszne, które tysiącznem echem rozbrzmiały od chaty do chaty.

Jurek Billewicz, poszedłszy w kilkadziesiąt koni z podjazdem pod Poniewież i zachwyciwszy kilku Szwedów, pierwszy dowiedział się o bitwie pod Prostkami. Następnie co nowina, to przychodziło więcej szczegółów, tak cudownych, że na baśń zakrawały.

—. Pan Gosiewski — powtarzano — zbił grafa Wałdeka, Izraela i księcia Bogusława. Wojsko zniesione zeszczętem, wodzowie w niewoli! Całe Prusy jednym ogniem płoną !

W kilka tygodni później jeszcze jedno groźne nazwisko poczęły powtarzać usta ludzkie: nazwisko Babinicza.

— Babinicz głównie do wiktorji pod Prostkami się przyczynił — mówiono na całej Żmudzi. — Babinicz księcia Bogusława własną ręką usiekł i pojmał.

A dalej :

— Babinicz pali Prusy elektorskie, idzie jako śmierć ku Żmudzi, ścina, ziemię a niebo zostawuje.

Wkońcu zaś:

— Babinicz Taurogi spalił. Sakowicz, uciekł przed nim i po lasach się kryje...

Ostatni wypadek zaszedł zbyt blisko, by długo pozostać mógł wątpliwym. Jakoż wieść sprawdziła się w zupełności.

Anusia Borzobohata przez cały czas, gdy te wieści dochodziły, żyła jakby w odurzeniu, śmiała się i płakała naprzemian, tupała nogami, gdy kto nie wierzył, i powtarzała wszystkim, czy kto chciał, czy nie chciał słuchać:

— Ja pana Babinicza znam! On mnie z Zamościa do pana Sapiehy przywiózł. Największy to w świecie wojownik. Nie wiem, czyli i pan Czarniecki mu dorówna. On to, pod panem Sapiehą służąc, całkiem księcia Bogusława w czasie pierwszej wyprawy pognębił... On, jestem pewna, że nie kto inny, pod Prostkami go usiekł. Da on panu Sakowiczowi, i takim dziesięciu, jak Sakowicz!... A Szwedów w miesiąc z całej Żmudzi wymiecie!

Jakoż zaręczenia jej poczęły się prędko sprawdzać. Nie było już najmniejszej wątpliwości, że groźny wojownik, zwany Babiniczem, posunął się od Taurogów w głąb ku północy kraju.

Pod Kołtyniami zbił pułkownika Baldona i oddział jego zniósł zeszczętem; pod Worniami wyciął piechotę szwedzką, która cofała się przed nim do Telsz; pod Telszami stoczył większą zwycięską bitwę z dwoma pułkowni-

kami, Normanem i Hudenskioldem, w której Hudenskiöld poległ, a Norman z niedobitkami nie oparł się aż w Zagórach, na samej granicy żmudzkiej.

Z Telsz ruszył Babinicz ku Kurszanom, pędząc przed sobą mniejsze oddziały szwedzkie, które nagwałt chroniły się przed nim pod skrzydła znaczniejszych załóg.

Od Taurogów i Połągi do Birż i Wiłkomierza brzmiało imię zwycięzcy. Rozpowiadano o okrucieństwach, których się nad Szwedami dopuszczał; mówiono, że wojska jego, złożone początkowo z niewielkiego czambułu Tatarów i chorągiewki wolentarzy, rosną z dnia na dzień, bo kto żyw, biegnie do niego, wszystkie partje łączą się z nim, a on ujmuje je w kluby żelazne i prowadzi na nieprzyjaciela.

Umysły tak dalece były jego zwycięstwami zajęte, że wieść o klęsce, jaką pan Gosiewski poniósł od Steinboka pod Filipowem, przeszła prawie bez echa. Babinicz był bliższym i Babiniczem więcej się zajmowano.

Anusia codzień błagała miecznika, ażeby szedł łączyć się ze wsławionym wojownikiem. Popierała ją i Oleńka, naglili wszyscy oficerowie i szlachta, którą sama ciekawość podniecała.

Ale nie była to rzecz łatwa. Naprzód, Babinicz był w innej stronie; po wtóre, często zapadał tak, że po całych tygodniach nie było o nim słychać, i wypływał znów razem z wie-

ścią o nowem zwycięstwie; po trzecie, wszystkie oddziały i załogi szwedzkie z miast i miasteczek, chroniąc się przed nim, zagrodziły wielkiemi kupami drogę; nakoniec za Rosieniami pojawił się znaczny oddział Sakowicza, o którym przyniesiono wiadomość, że niszczy wszystko przed sobą straszliwie, i mękami ludzi morząc, o partję billewiczowską ich bada.

Miecznik nietylko nie mógł ruszyć ku Babiniczowi, ale obawiał się, czy mu w okolicach Laudy nie stanie się wkrótce za ciasno.

Więc sam nie wiedząc, co począć, zwierzył się Jurkowi Bielewiczowi, że ma zamiar w lasy rogowskie na wschód się cofać. Jurek wygadał się zaraz z nowiną przed Anusią, ta zaś poszła wprost do miecznika.

— Stryjku najmilszy, — rzekła do niego (bo tak nazywała go zawsze, gdy cliciała coś na nim wydębić), — słyszałam, iż uciekać mamy. Zali to nie wstyd tak znamienitemu żołnierzowi pierzchać na samą wieść o nieprzyjacielu?

— Waćpanna musisz we wszystko swoje trzy grosze wścibić — odrzekł skłopotany miecznik. — To nie waćpanny rzecz.

— Dobrze, to się sobie cofajcie, a ja tu zostanę.

— Żeby cię Sakowicz złowił? obaczysz!

— Sakowicz mnie nie złowi, bo mnie pan Babinicz obroni.

— Właśnie też będzie wiedział, gdzie waćpanna jesteś. Powiedziałem raz, że się nie zdołamy do niego przedrzeć.

—- Ale on może przyjść do nas. Ja jego znajoma; żebym tylko mogła wysłać do niego list, jestem pewna, żeby tu przyszedł, wprzód Sakowicza pobiwszy. On mnie troclię lubił, toby i nie odmówił ratunku.

— A kto się podejmie list zanieść?

— Przez pierwszego lepszego chłopa można posłać...

— A nie zawadzi, nie zawadzi, w żadnym razie nie zawadzi. Oleńka ma bystry rozum, ale i waćpannie go nie brakuje. Clioćbyśmy się mieli tymczasem przed przeważną siłą w lasy uchylić, zawsze będzie dobrze, żeby Babinicz przyszedł w te strony, bo tym sposobem prędzej się z nim połączym. Próbuj waćpanna. Posłańcy się znajdą i ludzie pewni...

Uradowana Anusia tak dobrze zaczęła próbować, że tego samego dnia znalazła sobie aż dwóch posłańców, i to nie chłopów,— bo jednego Jurka Billewicza, drugiego Brauna. Oba mieli wziąć po liście jednobrzmiącym, aby w każdym razie, nie ten, to ów, mógł go wręczyć Babiniczowi. Z samym listem miała Anusia więcej kłopotu, lecz wreszcie napisała go w następujących słowach:

„W ostatniej toni piszę do Waćpana, jeśli mnie pamiętasz (choć wątpię, bo cobyś tam

miał Waćpan pamiętać!), abyś mi na ratunek przybył. Lecz tylko po życzliwości Waćpana, którą mi w drodze z Zamościa okazywałeś, śmiem się tego spodziewać, że mnie w nieszczęściu nie zaniechasz. Jestem w partji pana Billewicza, miecznika rosieńskiego, który mi przytułek dał, bom jego krewną, pannę Billewiczównę, z niewoli taurożańskiej wyprowadziła. I jego i nas obie oblega zewsząd nieprzyjaciel, a mianowicie Szwedzi i niejaki pan Sakowicz, przed którego grzeszną natarczywością musiałam uciekać i w obozie szukać schronienia. Wiem, że mnie Waćpan nie lubił, choć Bóg widzi, nic ci nie uczyniłam złego, a życzyłam i życzę zawsze z całego serca. Ale i nie lubiąc, ocal biedną sierotę ze srogich rąk nieprzyjacielskich, Bóg zasię wynagrodzi ci to stokrotnie, i ja będę się modlić za Waćpana, którego dziś jeno dobrym opiekunem, potem zaś zbawcą swoim będę nazywała do śmierci...“

Gdy wysłańcy opuszczali już obóz, Anusia, bacząc na jakie niebezpieczeństwa się narażają, zlękła się o nich i koniecznie zatrzymać ich pragnęła. Nawet ze łzami w oczach poczęła prosić miecznika, żeby im jechać nie pozwolił, bo listy i chłopi mogą zanieść, chłopom zaś i przedostać się będzie łatwiej.

Lecz Braun i Jurko Billewicz uparli się tak, że żadne przedstawienia nie pomogły. Jeden i drugi chcieli się w gotowości do usług

przesadzić, żaden zaś nie przewidywał co go czeka.

Albowiem w tydzień później Braun wpadł w ręce Sakowicza, który kazał go ze skóry obedrzeć, biedny zaś Jurko został zastrzelony za Poniewieżem, w ucieczce przed podjazdem szwedzkim.

Oba listy wpadły w ręce nieprzyjaciół.

ROZDZIAŁ IV.

Sakowicz po schwytaniu Brauna i obdarciu go ze skóry, porozumiał się natychmiast z obersztem Hamiltonem, Anglikiem w służbie szwedzkiej i komendantem w Poniewieżu, celem wspólnego uderzenia na partję miecznika Billewicza.

Babinicz właśnie był gdzieś zapadł w lasy i od kilkunastu dni żaden słuch o nim nie doszedł. Zresztą Sakowicz nie byłby już zważał na jego bliskość. Miał on wprawdzie, mimo całej swej odwagi, jakąś instynktową obawę przed Babiniczem, ale teraz gotów był sam zginąć, byle zemsty dokonać. Od czasu ucieczki Anusinej wściekłość nie przestawała ani na chwilę targać jego duszy. Zmylone rachuby i zraniona miłość własna w szał go wprawiały, a przytem cierpiało w nim i serce. Z początku pragnął on pojąć Anusię za żonę tylko dla majętności zapisanych jej przez pierwszego

narzeczonego, pana Podbipiętę, lecz później zakochał się w nieji ślepo i nazabój, jak tylko taki człowiek mógł się zakochać. I doszło do tego, że on, który oprócz Bogusława nikogo się nie bał na świecie, on, przed którego wzrokiem samym ludzie bledli, patrzył jak pies w oczy teji dziewczyny, ulegał jej, znosił jej wydziwiania, spełniał wszystkie chęci, starał się myśli zgadywać.

Ona używała i nadużywała swego wpływu, łudząc go słowy, spojrzeniem, wysługiwała się nim jak niewolnikiem, wkońcu zdradziła.

Sakowicz należał do tego rodzaju ludzi, którzy za jedyne dobro i cnotę poczytują to, co dla nich dobre, za złe i winę to, co im szkodę przynosi. Więc w oczach jego Anusia popełniła najstraszliwszą zbrodnię i nie było dla niej dość wielkiej kary. Gdyby to kogo innego spotkało, pan starosta śmiałby się i drwił, lecz gdy dotknęło jego osobę, ryczał jak ranny zwierz i myślał tylko o pomście. Cliciał dostać w ręce winowajczynię umarłą albo żywą. Wołałby żywą, bo mógłby naprzód kawalerską zemstę wywrzeć, — lecz choćby dziewczyna miała i polec w czasie napadu, mniejsza mu było z tem, byle się komu innemu nie dostała.

Chcąc działać na pewno, posłał do miecznika przekupionego człowieka z listem niby od Babinicza, w którym oznajmiał w imieniu tego ostatniego, że w Wołmontowiczach w ciągu tygodnia stanie.

Miecznik uwierzył łatwo, ufając zaś w niezwyciężoną siłę Babinicza i tajemnicy z tego nie czynił, zaczem nietylko sam zakwaterował się na dobre w Wołmontowieżach, ale poruszył przez rozgłoszenie nowiny całą prawie ludność laudańską. Resztki jej zbiegły się z lasów, raz dlatego, że to już był koniec jesieni i chłody wielkie nastały, a po wtóre przez samą ciekawość widzenia wsławionego wojownika.

A tymczasem od strony Poniewieża ciągnęli ku Wołmontowiczom hamiltonowscy Szwedzi, od strony Kiejdan (przekradał się po wilczemu Sakowicz.

Ten ostatni jednak ani się domyślał, że za nim, również po wilczemu, ciągnie na krok ktoś trzeci, który, lubo żadnych wezwań nie otrzymał, miał właśnie we zwyczaju zjawiać się tam, gdzie się go najmniej spodziewano.

(Kmicic nie wiedział zupełnie, że Oleńka znajduje się w billewiczowskiej partji. W Taurogaeli, które splondrował ogniem i mieczem, zasięgnął języka o tern, że uszła wraz z panną Borzobohatą, lecz przypuszczał, że uszły do puszczy Białowieskiej, gdzie chroniła cię także pani Skrzetuska i wiele innych szlachcianek. Mógł to przypuszczać tern bardziej, iż wiedział, że stary miecznik oddawna miał zamiar odwiezienia do tych nieprzebytych borów synowicy.

Zmartwiło to parni Andrzeja niepomiernie, że jej w Taurogach nie znalazł, ale z drugiej strony pocieszał się, że umknęła z rąk Sakowicza i że aż do końca wojny znajdzie bezpieczne przytulenie.

Nie mogąc do puszczy zaraz po nią iść, postanowił nieprzyjaciela na Żmudzi dopóty podchodzić i niszczyć, dopóki całkiem go nie zgnębi. I szczęście szło jego śladem. Od półtora miesiąca zwycięstwo następowało po zwycięstwie, lud zbrojny sypał się do niego tak obficie, że wkrótce czambulik stanowił ledwie czwartą część jego siły. Wreszcie wyźenął nieprzyjaciół z całej zachodniej Żmudzi, a zasłyszawszy o Sakowiczu i mając z nim dawne rachunki do załatwienia, puścił się w swe dawne strony i szedł za nim.

W ten sposób dotarli obaj w pobliże Wołmontowicz.

Miecznik, który poprzednio stał niedaleko, rezydował tam już od tygodnia i nawet w głowie nie postała mu myśl, jak strasznych wkrótce będzie miał gości.

Aż pewnego wieczora wyrostkowie Butrymi, pasący za Wołmontowiczami konie, dali znać, że jakieś wojsko wyszło z lasów i zbliża się od południowej- strony. Miecznik zbyt był jednak starym i doświadczonym żołnierzem, aby nie przedsięwziąć żadnych ostrożności. Piechotę swoją, częścią już opatrzoną przez Domaszewiczów w strzelbę, umieścił w nie-

dawno odbudowanych domach, częścią obsadził kołowrót, sam zaś z jazdą stanął nieco ztyłu poza płotami, na obszernym pastewniku, dotykającym jedną stroną rzeczki. Miecznik uczynił to głównie dlatego, żeby uzyskać pochwały Babinicza, który na dobrych rozporządzeniach znać się rnusiał; ale pozycja jego istotnie była silna.

Zaścianek, od czasu jak go Kmicic z zemsty za wymordowanie kompanjonów spalił, odbudowywał się zwolna; że zaś później wojna szwedzka robotę przerwała, było więc nagromadzonych w głównej ulicy mnóstwo bali [1], bierwion, desek. Całe ich kupy wznosiły się przy kołowrocie, i piechota, choćby mniej wyćwiczona, mogła się z poza nich długo bronić.

W każdym razie zabezpieczała ona jazdę od pierwszego natarcia. Miecznik tak dalece pragnął popisać się ze swoją znajomością żołnierki przed Babiniczem, że nawet podjeździk wysłał na zwiady.

Jakież było jego zdumienie, a w pierwszej chwili i przerażenie, gdy zdała z za borku doszedł go odgłos strzałów, następnie podjazd ukazał się na drodze, ale idący wskok i z chmurą nieprzyjaciół na karku.

Miecznik skoczył natychmiast do piechoty, aby ostatnie rozkazy wydać, a tymczasem z borku poczęły się wysypywać gęstsze za-

---

[1] belek.

stępy nieprzyjaciół i szły jak szarańcza ku Wołmontowiczom, świecąc w zachodzącem słońcu bronią.

Borek był blisko, więc podjechawszy nieco, jazda owa puściła zaraz wskok konie, pragnąc jednym zamachem przedostać się przez kołowrót, lecz nagły ogień piechoty osadził ją na miejscu. Pierwsze szeregi cofnęły się nawet dość bezładnie i tylko kilkunastu dotarło piersiami końskiemi do zasieków.

Miecznik też ochłonął tymczasem, i skoczywszy do jazdy, kazał wszystkim, którzy mieli pistolety lub strzelby, iść na posiłek piechocie.

Nieprzyjaciel był widocznie również zaopatrzony w muszkiety, bo zaraz po pierwszem natarciu rozpoczął ogień bardzo gwałtowny, chociaż nieregularny.

Więc z obu stron poczęło grzmieć, to szybciej, to powolniej; kule, świszcząc, dolatywały aż do jazdy, stukały po domach, płocie, kupach belek; dym rozciągał się nad Wołmontowiczami, zapach prochu napełnił ulicę.

Anusia zatem miała to, czego chciała, to jest bitwę.

Obie panny zaraz w pierwszej chwili dosiadły z rozkazu miecznika podjezdków, aby w danym razie, gdyby siły nieprzyjacielskie okazały się zbyt wielkie, mogły uchodzić razem z partją. Pomieszczono je więc v tylnych szeregach jazdy.

Lecz Anusi, ¡mimo że szabelkę miała przy boku i kołpaczek rysi na głowie, dusza zaraz z początku uciekła na ramię. Ona, która lak dobrze umiała sobie radzić w pokoju z oficerami, nie znalazła ani szczypty energji, gdy przyszło stanąć jej oko w oko synom Bellony [1] w polu. Świst i stukanie kul przerażało ją; zamęt, bieganie ordynansów, buk muszkietów i jęki rannych odejmowały jej przytomność, a zapach prochu przytłumiał oddech w piersiach. Uczyniło się jej mdło i słabo, twarz zbladła jak chusta, i poczęła wić się a piszczeć, jak dziecko; aż jeden z towarzyszów, młody pan Olesza z Kiemnar, rnusiał uchwycić ją w ramiona. Trzymał zaś mocno, mocniej, aniżeli trzeba było, i gotów był trzymać tak do końca świata.

Lecz żołnierze śmiać się naokoło poczęli.

— Rycerz w spódnicy! — ozwały się głosy. — A kury sadzić! a pierze drzeć!

Inni zaś wołali:

— Panie Olesza! przypadła ci tarcza do ramienia, ale cię przez nią tern łatwiej Kupido [2] strzałą przeszyje!...

I dobry humor ogarnął żołnierzy.

Inni woleli wszelako patrzeć na Oleńkę, która zachowywała się całkiem inaczej. Z początku, gdy kilka kul przeleciało opodal, przybladła i ona, nie mogąc się wstrzymać od uchy-

---

[1] rzymskiej bogini wojny. [2] rzymski bożek miłości, przedstawiany jako łucznik.

lania głowy i zamykania oczu; lecz następnie krew rycerska grać w niej poczęła, więc spłonąwszy na twarzy jak róża, podniosła głowę i patrzyła nieulękłem okiem przed siebie. Rozdęte jej nozdrza wciągały jakby z lubością zapach prochu. Że zaś dym czynił się wedle kołowrotu coraz większy i widok bardzo przysłaniał, więc odważna panna, widząc, że oficerowie wyjeżdżają naprzód, aby dokładniej przebieg bitwy śledzić, poruszyła się wraz z nimi, nie myśląc nawet o tern, co czyni.

A w gęstwie jazdy podniósł się szmer pochwalny :

— O, to krew! to żona dla żołnierza! to słuszny wolentarzyk !

— Vivat Billewiczówna !

— Popiszmy się, mości panowie, bo przed takiemi oczyma warto!

— I amazonki [1] lepiej przeciw muszkietom nie stawały ! — krzyknął któryś z młodych towarzyszów, zapominając w zapale, że amazonki żyły przed wynalezieniem prochu.

— Czasby już skończyć. Piechota grzecznie się sprawiła i liostes mocno nadwerężeni.

Rzeczywiście, nieprzyjaciel nie mógł nic wskórać jazdą. Co chwila rozpuszczał konie, podpadał do kołowrotu, ale po salwie cofał się ¡bezładnie. I jako fala, rozlawszy się po

---

[1] według starożytnego podania kobiety o męskiem usposobieniu, wojownicze, rządzęce same we własnem państwie.

płaskim brzegu, zostawia po sobie muszle, kamyki, martwą rybę, — tak po każdym ataku zostawało kilkanaście ciał końskich i ludzkich na drodze przed kołowrotem.

Wreszcie ataki ustały. Podjeżdżali tylko ochotnicy, paląc w stronę wsi z pistoletów i muszkietów dość gęsto, aby uwagę billewiczowskich zająć. Natomiast pan miecznik, wylazłszy po węgłach pod okap dworku, dojrzał ruch w tylnych szeregach nieprzyjacielskich ku polom i chróśniakom [1], ciągnącym się z lewej strony Wołmontowicz.

— Stąd będą tentowali! — zakrzyknął, i natychmiast posłał część jazdy między chałupy, żeby z sadów dała nieprzyjacielowi odpór.

W pół godziny nowa bitwa, ale także na palną broń, zawiązała się z lewego skrzydła partji.

Sady ogrodzone utrudniały jeszcze atak wręcz, ale utrudniały zarówno dla stron obu. Przytem nieprzyjaciel, rozrzuciwszy się na długiej linji, mniej był narażony na strzały.

Bitwa zwolna stawała się coraz zażartszą i coraz pracowitszą, nie przestano bowiem atakować i kołowrotu.

Miecznik począł się niepokoić.

Z prawej strony miał za sobą błonia wolne jeszcze, kończące się rzeczką niezbyt szeroką, lecz głęboką i bagnistą, przez którą przeprawa, zwłaszcza w pośpiechu, mogła być trudną. W jednem miejscu tylko była wydeptana dro-

[1] zaroślom.

ga do płaskiego brzegu, przez który przepędzano bydło do boru.

Pan Tomasz coraz częściej jakoś jął się oglądać w tamtą stronę.

Naraz, między przejrzystą, bo pozbawioną już liści wierzbinową gęstwą, ujrzał przy zorzy wieczornej połyskującą broń i czarniawi} chmurę żołnierstwa.

— Babinicz nadchodzi! — pomyślał.

Lecz w tej chwili przypadł do niego pan Clirząstowski, który szwadronem jazdy dowodził.

— Od rzeki szwedzką piechotę widać! — krzyknął w przerażeniu.

— Zdrada jakowaś! — zawołał pan Tomasz. — Na rany Chrystusa! skoczże waść ze swoim szwadronem na tę piechotę; inaczej w bok nam przyjdzie!

— Siła wielka! — odrzekł pan Clirząstowski.

— Wesprzyjcie ją choć na godzinę, my zaś będziem się wtył ku lasom salwować.

Pan Clirząstowski skoczył, i wkrótce ruszył błoniem na czele dwustu ludzi, co widząc nieprzyjacielska piechota, poczęła się szybko formować w gąszczach na przyjęcie nieprzyjaciela; po chwili szwadron rozpuścił konie, a zaś z wierzbinowych krzów zagrzmiała muszkietowa palba.

Miecznik zwątpił już nietylko o zwycięstwie, ale nawet o ocaleniu własnej piechoty.

Mógł jeszcze wycofać się wtył z częścią jazdy, z pannami, i szukać schronienia w lesie, lecz taki odwrót równał się wielkiej klęsce, bo prowadził za sobą wydanie pod miecz większej części partji i resztek ludności laudańskiej, która zgromadziła się w Wołmontowiczach dla widzenia Babinicza. Same Wołmontowicze zostałyby naturalnie w takim razie z ziemią zrównane.

Pozostawała jeszcze jedynie nadzieja, że pan Chrząstowski przełamie ową piechotę.

Tymczasem ściemniło się na niebie, ale w zaścianku ¡blask czynił się coraz większy, bo zapaliły się wióry, drzazgi i heblowiny, leżące kupą przy pierwszym domu od kołowrotu. Od nich zajął się sam dom, i krwawa łuna zaświeciła nad wioską.

Przy jej blasku ujrzał pan miecznik jazdę Chrząstowskiego, wracającą w popłochu i nieładzie, za nią zaś piechota szwedzka wysypywała się z gąszczów, idąc pędem do ataku.

Wówczas zrozumiał, że trzeba cofać się jedyną wolną drogą.

Już więc dopadł do resztek jazdy, już machnął szablą i krzyknął: „Wtył, mości panowie! a w ordynku! w ordynku!“– gdy nagle i ztyłu ozwały się strzały, pomieszane z okrzykiem żołnierstwa.

Poznał tedy miecznik, że jest otoczony, że wpadł jakoby w pułapkę, z której niema ni wyjścia, ni ratunku.

Pozostawało mu tylko zginąć z chwałą, więc wyskoczył przed szereg jazdy i zawołał:

— Padniemy jeden na drugim! Nie pożałujem krwi za wiarę i ojczyznę!

Tymczasem ogień jego piechoty, broniącej kołowrotu i lewej strony zaścianka, zesłabł, a coraz potężniejszy krzyk nieprzyjaciela zwiastował jego bliski triumf.

Lecz co znaczą te chrapliwe głosy krzywuł w szeregach sakowiczowskiej watahy i warczenie bębnów w szeregacli szwedzkich?

Wrzaski słychać coraz przeraźliwsze, jakieś dziwne, zamieszane, jakby nie triumf, ale przerażenie w nich 'brzmiało.

Oigiteń przy kołowrocie ustaje naraz, jakby kto nożem przeciął. Kupy jazdy sakowiczowskiej lecą na złamanie karku od lewej strony, ku głównej drodze. Z prawej strony piechota staje, i zamiast iść naprzód, poczyna się cofać ku zaroślom.

— Co to jest?... Na rany Chrystusa! Co to jest?! — krzyczy miecznik.

Wtem odpowiedź przychodzi ze strony owego borku, z którego wyszedł Sakowicz, a teraz sypią się z niego ludzie, konie, chorągwie, buńczuki, szable i idą — nie! raczej pędzą jak wicher, i nie jak wicher, ale jak trąba powietrzna. W krwawych blaskach pożaru widać ich jak na dłoni. Idą ich tysiące! Ziemia ^daje się uciekać z pod ich nóg, a ci lecą ławą zbitą, — rzekłbyś: jakiś potwór wychylił się

z dąbrowy i sadzi przez pola ku wiosce, by ją pochłonąć. Leci przed nimi gnane pędem powietrze, leci strach i zatracenie... Już, już są ! już dopadają! Zwieją Sakowicza jak wicher!

— Boże! Boże wielki! — krzyczy jak w obłąkaniu miecznik — to nasi! to chyba Babinicz!

— Babinicz! — wrzeszczą za nim wszystkie gardziele.

— Babinicz! — rozlegają się przerażone głosy w sakowiczowskim oddzielę.

I cała nieprzyjacielska wataha wykręca w prawo, chcąc umykać ku swojej piechocie.

Płot łamie się z trzaskiem przeraźliwym pod parciem piersi końskich; pastewnik [1] zapełnia się uciekającymi, lecz tamci już siedzą na ich karkach, tną, sieką, bodą, tną bez wytchnienia, tną bez miłosierdzia. Słychać krzyk, jęki, świst szabel. Jedni i drudzy wpadają na piechotę, przewracają ją, łamią, roznoszą. Rzekłbyś: tysiące chłopów stanęło do młócki i cepami bije. Wreszcie cała masa zwala się ku rzece, ginie w zaroślach, przetacza się na drugi brzeg. Jeszcze ich widać, gonią ciągle i Iną a tną! Oddalają się. Zabłyśli raz jeszcze szablami i znikli wreszcie w krzach, w przestrzeni, w ciemności.

Piechota miecznikowa poczęła ściągać się od kołowrotu i z domów, których już bronić

[1] pastwisko.

nie potrzeba; jazda stoi czas jakiś w takieni zdumieniu, że milczenie głuche ¡panuje w szeregach, i dopiero gdy płonący dom zawala się z trzaskiem, głos jakiś odzywa się nagle:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego! Burza to przeleciała!

— Noga żywa z tego pościgu nie wyjdzie! — dodaje drugi głos.

— Mości panowie! —■ woła nagle miecznik — a my nie skoczym na tych, którzy nam ztyłu zachodzili? W odwrocie oni teraz, ale ich dogonim!

—■ Bijd zabij! — odpowiadają chórem głosy.

I cała jazda, zawróciwszy się, wypuszcza konie za ostatnim oddziałem nieprzyjaciół. W Wołmontowiczach zostają tylko starcy, niewiasty, dzieci i „panienka“ z towarzyszką.

Dom ugaszono w mgnieniu oka, poczem radość niepojęta pochwytuje wszystkie serca. Kobiety z płaczem i szlochaniem wznoszą ręce ku niebu, i zwracając się ku stronie, w którą popędził Baibiinicz, wołają:

— Boże ci błogosław, wojenniku niezwyciężony! Zbawco, któryś nas, nasze dzieci i domy od zagłady ocalił!

Zgrzybiali Butrymowie powtarzają chórem:

— Boże ci błogosław! Boże cię prowadź! Bez ciebie byłoby już po Wołmontowiczach!

Ach! gdyiby w tym tłumie wiedziano, że wieś od ognia i ludność od miecza ocaliła wła-

śnie ta sama ręka, która przed dwoma laty do tej samej wioski wniosła ogień i miecz!...

Po ugaszeniu pożaru, kto żyw począł zbierać rannych, groźni zaś wyrostkowie, przebiegając z kłonicami [1] pobojowisko, dobijali Szwedów i sakowiczowskicli grasanitów.

Oleńka wnet wzięła komendę nad opatrunkiem. Przytomna zawsze, pełna energji i siły, nie ustała w pracy póty, póki każdy ranny nie spoczął w chacie z przewiązanemi ranami.

Poczem cała ludność poszła za jej przykładem pod krzyż, odmawiać litanję za poległych; przez całą noc nikt oka nie zmrużył w Wołmontowiczach, wszyscy czekali na powrót miecznika i Babinicza, krzątając się przytem, aby zwycięzcom należyte zgotować przyjęcie. Szły pod nóż hodowane w lasach woły i barany; ogniska huczały aż do rana.

Anusia jedna w niczem nie mogła brać udziału, bo naprzód odjął jej siły strach, a potem radość tak wielka, że do szału podobna. Oleńka musiała mieć i o niej staranie, a ona śmiała się i płakała naprzemian, to znów rzucała się w ramiona towarzyszce, powtarzając bez ładu i porządku:

— A co? kto nas ocalił, i miecznika i partję i całe Wołmontowicze? Przed' kim Sakowicz uciekł? kto go pogrążył i Szwedów razem z nim?... Pan Babinicz! A co? Wiedziałam, że przyjdzie. Przeciem do niego pisała. A on

[1] drążkami, podtrzymującemi literki wozu.

nie zapomniał! Wiedziałam, wiedziałam, że przyjdzie. Ja to go sprowadziłam! Oleńko! Oleńko! ja szczęśliwa! Nie mówiłam-że ci ? Jego nikt nie zwycięży! Jemu pan Czarniecki nie dorówna... O, Boże! Boże! Prawda, że on tu wróci? Dziś jeszcze? Bo żeby nie miał wrócić, toby nie przychodził, prawda?... Słyszysz, Oleńka, jakieś konie rżą w oddali...

Ale w oddali nic nie rżało. Nad ranem dopiero rozległ się tętent, okrzyk, śpiewy, i wrócił pan miecznik. Jazda na spienionych od pogoni koniach zapełniła cały zaścianek. Śpiewom, krzykom, opowiadaniom nie było końca.

Miecznik, umazany krwią, zdyszany, ale radosny, opowiadał do wschodu słońca, jako zniósł oddział rajtarji nieprzyjacielskiej, jako dwie mile na nich jechał i prawie do nogi wytępił.

On, również jak całe wojsko i wszyscy laudańscy, byli przekonani, że Babinicz wróci lada chwila.

Lecz przyszło południe, potem słońce odbyło drugą połowę drogi i poczęło się zniżać, — a Babinicz nie wracał.

Anusia atoli pod wieczór dostała wypieków na twarzy.

— Zaliby mu tylko o Szwedów, nie o mnie chodziło? — myślała sobie w duszy. — Przecie list odebrał, skoro tu przyszedł...

Biedna, nie wiedziała, że dusze Brauna i Jurka Biłlewicza były dawno już na tam-

tym świecie i że Babinicz żadnego listu nie odebrał.

Bo gdyby był odebrał, błyskawicą wróciłby do Wołmontowicz, tylko... nie dla ciebie, Anusiu !

Upłynął znowu dzień; miecznik nie tracił jeszcze nadziei i nie ruszał się z zaścianka.

Anusia zacięła się w milczeniu.

— Spostponował mnie strasznie! Ale dobrze mi tak za moją płochość, za moje grzechy! — mówiła do siebie.

Na trzeci dzień pan Tomasz wysłał kilkunastu ludzi na zwiady.

Ci wrócili czwartego dnia z doniesieniem, że pan Babinicz wziął Poniewież, a ze Szwedów nikogo nie żywił. Poczem poszedł niewiadomo dokąd, bo słuch o nim przepadł.

— Już go nie znajdziem, póki znowu nie wypłynie! — rzekł na to miecznik.

Anusia zmieniła się w pokrzywę; kto z młodszej szlachty i oficerów dotknął się jej, wnet się sparzył.

Piątego zasię dnia rzekła do Oleńki :

—- Pan Wołodyjowski taki sam debry żołnierz, ale mniejszy grubijan.

— A może — odrzekła na to w zamyśleniu Oleńka — może pan Babinicz wierności dla tamtej dochowuje, o której ci w drodze z Zamościa wspominał.

Na to Anusia:

— Dobrze! Wszystko mi jedno...

Ale nie powiedziała prawdy, bo jej wcale nie było wszystko jedno.

ROZDZIAŁ V.

Sakowicz tak doszczętnie został zniesiony, iż zaledwie samopiąt zdołał się schronić do lasów w pobliżu Poniewieża. Następnie tułał się po nich w przebraniu chłopskiem przez całe miesiące, nie śmiejąc wychylić się na świat jasny.

Babinicz zaś rzucił się na Poniewież, piechotę szwedzką, tamże na załodze stojącą, wyciął, i gonił za Hamiltonem, który nie mogąc ku Inflantom uchodzić z powodu znacznych sił polskich, zebranych w Szawlach i dalej pod Birżami, zawrócił wbok ku wschodowi, w nadziei, że do Wiłkomierza zdoła się przedrzeć. Zwątpił on już o ocaleniu swego regimentu, nie chciał tylko wpaść w ręce Babinicza, bo wieść głosiła powszechnie, że ów srogi wojownik, aby się kłopotem nie obarczać, jeńców do nogi każę wycinać.

Umykał więc nieszczęsny Anglik, jak jeleń ścigany przez stado wilków, a Babinicz gonił go tern zawzięciej; dlatego to do Wołmontowicz nie wrócił, i nawet nie pytał, jaką partję udało mu się ocalić.

Już też pierwsze szrony poczęły rankami okrywać ziemię, więc ucieczka stawała się tem trudniejsza, bo ślady kopyt zostawały na gruncie leśnym. Paszy nie było w polach, konie cierpiały głód srogi.

Rajtarowie nie śmieli zatrzymywać się na dłużej po wsiach, z obawy, że uparty nieprzyjaciel może ich lada chwila doścignąć.

Wkońcu nędza ich przeszła wszelką granicę; żywili się tylko liśćmi, korą i własnemi końmi, które upadały ze znużenia.

Po tygodniu sami poczęli prosić swego pułkownika, by odwrócił się czołem ku Babiniczowi i dał mu pole, bo wolą ginąć od miecza, niż od głodowej śmierci.

Hamilton usłuchał i stanął do bitwy w Androniszkach. Siły szwedzkie o tyle były mniejsze, że Anglik nie mógł nawet i marzyć o zwycięstwie, zwłaszcza nad takim przeciwnikiem. Ale i sam był już umęczon bardzo i chciał zginąć.

Jednakże bitwa, poczęta w Androniszkach, skończyła się w pobliżu Troupiów, pod któremi ostatni Szwedzi polegli.

Hamilton zginął bohaterską śmiercią, broniąc się pod krzyżem przydrożnym przeciw kilkunastu ordyńcom, którzy początkowo clicieli go brać żywcem, ale rozjątrzeni uporem, roznieśli wreszcie na szablach.

Lecz i Babiniczowe chorągwie były tak pomęczone, że nie miały sił ni chęci iść nawet

do pobliskich Troupiów, jeno jak gdzie która w czasie bitwy stała, tam zaraz poczęła się roztasowywać na nocleg, rozpalając ognie wśród trupów nieprzyjacielskich.

Po posiłku zasnęli wszyscy kamiennym snem.

Sami zaś Tatarzy odłożyli do jutra obszukiwanie trupów.

Kmicic, któremu głównie o konie chodziło, nie sprzeciwiał się temu wypoczynkowi.

Nazajutrz jednak wstał dość rano, aby straty własne po zażartej potyczce obliczyć i łup sprawiedliwie rozdzielić. Zaraz po posiłku stanął na wzniesieniu pod tym samym krzyżem, pod którym zginął Hamilton, a starszyzna polska i tatarska podchodziła ku niemu zkolei, mając zakanbowany na laskach ubytek ludzi, i czyniła relacje. On słuchał, jako gospodarz wiejski słucha latem włodarzy, i radował się w sercu żniwem obfitem.

Wtem zbliżył się ku niemu Akbah-Ułan, podobniejszy do straszydła, niż do człowieka, bo mu w wołmontowickiej bitwie nos rozbito głownią od szabli, skłonił się, podał Kmicicowi zakrwawione papiery i rzekł:

— Effendi, pisma jakoweś znaleziono przy wodzu szwedzkim, które wedle rozkazu oddaję-

Rzeczywiście Kmicic raz na zawsze wydał rozkazy, aby wszystkie papiery, znalezione przy trupach, odnoszono mu zaraz po bitwie,

częstokroć bowiem mógł wymiarkować z nich zamiary nieprzyjaciół i stosownie postąpić.

Lecz w tej chwili nie było miu tak pilno, więc kiwnąwszy igłową Akbahowi, schował papiery w zanadrze. Akbaha zaś odesłał do czambułu, poleciwszy imu, ażeby zaraz ruszał do Troupiów, w których na dłuższy odpoczynek pozostać mieli.

Przeciągały tedy chorągwie przed nim jedna po drugiej. W przodku szedł czambulik, który obecnie niespełna pięćset głów tylko liczył, — reszta wykruszyła się w ciągłych bitwach; ale każdy Tatar tyle miał zaszytych w kulbace, tołubie i czapce szwedzkich riksdalerów 1, pruskich talarów i dukatów, że go można było brać na wagę srebra. Był to przytem lud wcale do zwykłych czambułowych Tatarów niepodobny, bo co było słabsze, to z trudów zmarniało, zostały tylko chłopy naschwał, pieczyste, żelaznej wytrzymałości i jadowite nakształt szerszeni. Ciągła praktyka tak ich wyćwiczyła, że w ręcznem spotkaniu mogliby dotrzymać nawet polskiej komputowej jeździe, na rajtarów zaś łub dragonów pruskich, o ile liczba była równą, chodzili jak wilcy na owce. W bitwie bronili szczególnie ze straszną zajadłością ciał swych towarzyszów, aby się potem skarbami ich podzielić.

Teraz przechodzili przed panem Kmicicem

---

[1] talarów.

z wielką fantazją, brząkając w litaury, świszcząc na końskich piszczelach i potrząsając buńezukiem, a szli tak sfornie, że i regularny żołnierz nie szedłby lepiej. Za nimi ciągnęła dragon ja, przez pana Andrzeja z mozołem wielkim z ochotników wszelkiego rodzaju utworzona, zbrojna w rapiery i muszkiety. Dowodził nią dawny wachmistrz Soroka, teraz do godności oficerskiej, a nawet kapitańskiej podniesion. Pułk ów, przybrany jednostajnie w mundury zdobyczne, zdarte z dragonów pruskich, składał się przeważnie z łudzi niskiego stanu, ale właśnie pan Kmicic lubił ten rodzaj ludzi, bo słuchał ślepo i wszelkie trudy bez szemrania znosił.

W dwóch następnie idących chorągwiach wolentarskich służyła sama szlachta, mniejsza i większa. Były to duchy burzliwe i niespokojne, które pod innym wodzem zmieniłyby się w kupę drapieżników, ale w tych żelaznych rękach stały się podobne do regularnych chorągwi i same rade zwały się „petyhorskiemi“. Ci mniej na ogień od dragonów wytrzymali, byli zato w pierwszej furji straszniejsi, biegłością zaś w ręcznem spotkaniu przewyższali całe wojsko, bo każdy sztukę fechtów posiadał.

Za nimi nakoniec przeciągnęło około tysiąca świeżych wolentarjuszów, ludu dobrego, ale nad którym siła trzeba było jeszcze pracować, by się stali do sprawnego wojska podobni.

Każda z tych chorągwi, przechodząc koło figury, podnosiła okrzyk, salutując przytem pana Andrzeja szablami. On zaś radował się coraz więcej. Siła to przecie znaczna i nie licha! Wiele już z nią dokazał, wiele krwi nieprzyjacielskiej wytoczył, a Bóg wie, czego jeszcze dokonać potrafi.

Dawne jego winy wielkie, ale i świeże zasługi niemałe. Oto powstał z upadku, z grzechu, i poszedł pokutować nie w kruchcie -[1], ale w polu, nie w popiele, ale we krwi. Bronił Najświętszej Panny, ojczyzny, króla, i teraz czuje, że mu na duszy lżej, weselej. Ba! nawet dumą wzbiera serce junackie, bo nie każdy takby sobie dał rady, jako on!

Tyle przecie jest szlachty ognistej, tylu kawalerów w tej Rzeczypospolitej, a czemu to żaden na czele takiej potęgi nie stoi, — ani nawet Wołodyjowski, ani Skrzetuski? Kto przytem Częstochowę osłaniał, króla w wąwozach bronił? Kto Bogusława usiekł? Kto pierwszy wniósł miecz i ogień do Prus elektorskich?! A owo i teraz na Żmudzi prawie już niemasz nieprzyjaciół.

Tu pan Andrzej uczuł to, co czuje sokół, gdy, rozciągnąwszy skrzydła, wzbija się wyżej i wyżej! Przeciągające chorągwie witały go gromkim okrzykiem, a on głowę podniósł i pytał sam siebie: „Dokąd też dolecę?“ — I twarz mu spłonęła, bo w tej chwili wydało

---

[1] przedsionku kościoła.

mu się, że hetmana w sobie nosi. Lecz ta buława, jeżeli go dojdzie, to dojdzie z pola, z ran, z zasługi, z chwały. Nie zamigoce mu już nią przed[1] oczyma żaden zdrajca, jak w swoim czasie migotał Radziwiłł, jeno wdzięczna ojczyzna włoży mu ją w dłoń z woli królewskiej. A jemu nie troskać się o to, kiedy to przyjdzie, jeno bić i bić, — bić jutro, jak pobił wczoraj!

Tu rozbujała wyobraźnia kawalerska powróciła do rzeczywistości. Dokąd ma ruszyć z Troupiów, w jakiem nowem miejscu o Szwedów zahaczyć?

Wtem przypomniały mu się listy, oddane przez Akbah-Ułana, a znalezione przy trupie Hamiltona; sięgnął więc ręką w zanadrze, wydobył, spojrzał — i zaraz zdumienie odbiło się na jego twarzy.

Na liście bowiem stał wyraźnie napis, niewieścią skreślony ręką:

„Do JMP. Babinicza, pułkownika wojsk tatarskich i wolentarskich".

— Do mnie?... — rzekł pan Andrzej.

Pieczęć była złamana, więc prędko otworzył list, uderzył wierzchem dłoni po papierze i począł czytać.

Ale jeszcze nie skończył, gdy mu ręce zadrgały, zmienił się na twarzy i zakrzyknął:

— Pochwalone imię Pańskie! Boże miłosierny ! oto i nagroda dochodzi mnie z rąk Twoich!

Tu chwycił podnóże krzyża w obie ręce i płową czupryną począł 'bić w cokół. Inaczej dziękować Bogu w tej chwili nie umiał, na więcej słów modlitwy się nie zdobył, bo radość objęła go do wichru podobna i aż hen, pod niebo uniosła.

Oto list był od Anusi Borzobohatej. Szwedzi znaleźli go przy Jurku Billewiczu, a teraz przez drugiego trupa doszedł rąk Kmicicowycli. W ¡głowie pana Andrzeja tysiączne myśli przelatywały z szybkością strzał tatarskich.

Więc Oleńka była nie w puszczy, ale w partji billewiczowskiej ? I on właśnie ocalił ją, a z nią razem te Wołmontowicze, które niegdyś za kompanjonów z dymem puścił! Widocznie ręka Boska kierowała jego krokami tak, aby za jednym zamachem wynagrodził za wszystkie krzywdy i Oleńce i Laudzie. Oto zmazane jego winy! Może-li ona teraz mu nie przebaczyć, albo ta szara brać laudańska? Mogą-li[1] go nie błogosławić? I co powie umiłowana dziewczyna, która go za zdrajcę uważa, gdy się dowie, że ów Babinicz, który Radziwiłła obalił, który po pas nurzał się we krwi niemieckiej i szwedzkiej, który na Żmudzi nieprzyjaciela wygniótł, wyniszczył, do Prus i Inflant przepędził, — to on, to Kmicic, ale już nie zabijaka, nie banit, nie zdrajca, jeno obrońca wiary, króla, ojczyzny!

A przecie zaraz po przestąpieniu granicy żmudzkiej byłby pan Andrzej na cztery strony świata rozgłosił, kim jest ów przesławny Babilliez, i jeśli tego nie uczynił, to jeno dlatego, że się obawiał, iż na sam dźwięk prawdziwego jego nazwiska wszyscy się od niego odwrócą, wszyscy go będą podejrzywać, odmówią pomocy i ufności. Dopieroż ledwie dwa lata upłynęły, jak obłąkany przez Radziwiłła wycinał te chorągwie, które razem z Radziwiłłem przeciw królowi i ojczyźnie powstać nie chciały. Przed dwoma ledwie laty był prawą ręką wielkiego zdrajcy!

Lecz teraz, zmieniło się wszystko! Teraz, po tylu zwycięstwach, w takiej chwale, ma prawo przyjść do dziewczyny i powiedzieć jej: „Jam Kmicic, ale twój zbawca!“ — Ma prawo krzyknąć całej Żmudzi: „Jam Kmicic, ale twój zbawca!“

A zatem Wołmontowicze przecie niedaleko! Tydzień ścigał Babinicz Hamiltona, lecz Kmicic prędzej; niż w tydzień będzie u nóg Oleńki.

Tu powstał pan Andrzej, blady ze wzruszenia, z płonącemi oczyma, z promienną twarzą, i krzyknął na pachołka:

—• Konia mi prędzej! żywo! żywo!

Pacholik podprowadził karego dzianeta i sam zeskoczył strzemię podawać, lecz stanąwszy na ziemi, rzekł:

— Wasza miłość! obcy ludzie jacyś ku nam odTroupiów z panem Soroką jadfą i suną rysią.

— Mniejsza mi z nimi! — odrzekł pan Andrzej.

Tymczasem obaj jeźdźcy zbliżyli się na kilkanaście kroków, następnie jeden z nich w towarzystwie Soroki wysunął się wskok naprzód, przybiegł, i uchyliwszy rysiego kołpaka, odkrył rudą jak ogień czuprynę.

— Widzę, że przed panem Babiniczem stoję! — rzekł. — Rad jestem, żem waści odszukał.

— Z kim mam honor? — rzekł niecierpliwie pan Kmicic.

— Jestem Wierszuł, niegdyś rotmistrz tatarskiej chorągwi księcia Jaremy Wiśpiowieckiego; przybywam w rodzinne strony, by tu na nową wojnę zaciągi czynić, a oprócz tego przywiozłem list dla waszmości od pana hetmana wielkiego Sapiehy.

— Na nową wojnę? — spytał Kmicic, marszcząc brwi. — Co waść prawisz?

— Ten list lepiej ode mnie waćpana objaśni — rzekł Wierszuł, podając pismo hetmańskie.

Kmicic rozerwał gorączkowo pieczęć. List Sapiehy brzmiał jak następuje:

„Mnie wielce uprzejmy panie Babinicz! Nowy potop na ojczyznę! Liga Szweda z Rakoczym stanęła i podział Rzeczypospolitej ułożony. Ośmdziesiąt tysięcy Węgrzynów, Siedmiogrodzian, Wołoszy i Kozaków przekroczy lada godzina południową granicę.

A gdy w takiej ostatniej toni trzeba nam wszystkie siły wytężyć, aby choć imię sławne po naszym narodzie na przyszłe wieki zostało, posyłam WMści ten ordynans, wedle którego masz WMść, nie tracąc chwili czasu, wprost na południe konie obrócić i wiełkiemi drogami ku nam dążyć. Zastaniesz nas w Brześciu, skąd, niemieszkając, dalej cię wyślem. Tymczasem periculum in mora! Książę Bogusław eliberował[3] się z niewoli, ale pan Gosiewski ma mieć na Prusy i Żmudź oko. Raz jeszcze zalecając WMści pośpiech, dułam, że miłość do ginącej ojczyzny najlepszą ci będzie ostrogą“.

Kmicic, skończywszy czytać, wypuścił list na ziemię i począł przeciągać rękoma po zwilgotniałej twarzy, na koniec spojrzał błędnie na Wierszuła i spytał cichym, zduszonym głosem:

— Dlaczegóż to pan Gosiewski ma na Żmudzi zostawać, a ja ruszać na południe?

Wierszu[1]! wzruszył ramionami.

— Spytaj się waszmość pana hetmana w Brześciu o racje! Jać nic nie powiem.

Nagle straszny gniew schwycił pana Andrzeja za gardło, oczy mu zabłysły, twarz zsiniała, i krzyknął przeraźliwym głosem:

— A ja stąd nie pójdę! Rozumiesz waść!

— Tak? — odrzekł Wierszu!. — Moja *

[1] uwolnił się.

rzecz była ordynans oddać, a reszta waści sprawa! Czołem, czołem! Chciałem się na parę godzin do kompanji zaprosić, ale po tern, com usłyszał, wolę poszukać innej.

To rzekłszy, odwrócił konia i odjechał.

Pan Andrzej siadł znów pod figurą i począł bezmyślnie rozglądać się po niebie, jakby pogodę cliciał wymiarkować. Pacholik usunął się z końmi opodal i cisza uczyniła się naokół.

Ranek był pogodny, blady, pół jesienny i pół już zimowy. Wiatr nie wiał, ale z brzóz rosnących pod męką Pańską spływały bez szelestu resztki pożółkłych i skręconych od chłodu liści. Nieprzeliczone stada wron i kawek leciały nad lasami; niektóre zapadały z wielkiem krakaniem tuż obok figury, na polu bowiem i na drodze leżało jeszcze pełno niepogrzebionych trupów szwedzkich. Pan Andrzej patrzył na owe czarne ptactwo, mrugając oczyma, — rzekłbyś: chce je przeliczyć. Potem przymknął powieki i długo siedział bez ruchu. Nakoniec wzdrygnął się, zmarszczył brwi, przytomność wróciła mu na twarz — i tak począł do się mówić:

— Nie może inaczej być! Pójdę za dwa tygodnie, ale nie teraz. Niech się dzieje co chce! Nie jam Rakoczego sprowadził. Nie mogę! Co nadto, to nadto!... Małom to się natłukł, nakołatał, nocy bezsennych na kulbace spędził, krwi swojej i cudzej narozlewał? Takaż za to nagroda?!... Żebym to choć tam-

tego listu nie odebrał, poszedłbym; ale oba przyszły w jednej godzinie, jakoby na większy ból, na większy żal dla mnie... Niechże świat się zapada, nie pójdę! Nie zginie przez dwa tygodnie ojczyzna, a zresztą widocznie gniew Boży jest nad nią, i nie w mocy ludzkiej na to wskórać. Boże, Boże! Hiperboreje, Szwedzi, Prusacy, Węgrzyni, Siedmiogrodzianie, Wołosza, Kozacy, — wszystko naraz! Kto się temu oprze? 0 Panie! co Ci zawiniła ta nieszczęsna ojczyzna, ten król pobożny, żeś odwrócił od nich oblicze, i ni ¡miłosierdzia ni ratunku nie dajesz, i plagi coraz nowe zsyłasz? Małoż jeszcze krwi? mało łez? Toż tu ludzie już się weselić zapomnieli, toć tu wichry nie wieją, jeno jęczą... Toć tu dżdże nie padają, jeno płaczą, a Ty smagasz i smagasz! Miłosierdzia, Panie! ratunku, Ojcze!... Grzeszyliśmy... ale przecie już przyszła poprawa!... Oto odstąpiliśmy naszych fortun, siedliśmy na koń i bijem a bijem! Poniechaliśmy swawoli, zrzekliśmy się prywaty... Więc czemu nie odpuścisz? Czemu nie pocieszysz?

Tu nagle sumienie porwało go za włosy i zatrzęsło nim, aż krzyknął, bo zarazem zdało mu się, że słyszy jakiś głos niezmierny, z całego sklepienia niebios płynący, który mówi:

— Zaniechaliście prywat? A tyż, nieszczęśniku, co w tej chwili czynisz? Zasługi swoje podnosisz, a gdy przyszła pierwsza chwila próby, jako ¡»hukany koń dęba stajesz i krzy-

czysz: „Nie pójdę!“ Ginie matka, nowe miecze pierś jej przeszywają, a ty się od niej odwracasz, nie chcesz jej wesprzeć ramieniem, za własnem szczęściem gonisz i krzyczysz: „Nie pójdę!“ Ona ręce krwawe wyciąga, już, już pada, już mdleje, już kona i ostatnim głosem woła: „Dzieci! ratujcie!“ A ty jej odpowiadasz: „Nie pójdę!“ Biada wam! biada takiemu narodowi, biada tej Rzeczypospolitej!

Tu panu Kmicicowi strach podniósł włosy na głowie i całe jego ciało dygotać poczęło, jakby je paroksyzm febry chwycił... I naraz rymnął twarzą do ziemi, i nie wołać, ale krzyczeć jął w przerażeniu:

— Jezu nie karz! Jezu zmiłuj się! Bądź wola Twoja! Już pójdę, pójdę!

Potem czas jakiś leżał w milczeniu i szlochał, a gdy podniósł się wreszcie, twarz miał rezygnacji pełną i spokojniejszą, i tak dalej się modlił:

— Ty się, Panie, nie dziwuj, że mi żal, bom był w wilję szczęśliwości mojej. Ale niech już tak będzie, jak Ty rozporządzisz! Teraz już rozumiem, żeś mnie chciał doświadczyć, i dlategoś mnie jakoby na rozstajnych drogach postawił. Bądź jeszcze raz wola Twoja. Ani się obejrzę za siebie! Tobie, Panie, ofiaruję ten mój żal okrutny, te moje tęskności, to moje ciężkie zmartwienie. Niechże mi wszystko będzie policzone, za to, żem księcia Bogusława oszczędził, nad czem płakała ojczyzna.

Widzisz teraz, Panie, ż<e to była ostatnia moja prywata... Już więcej nie będę, Ojcze miłościwy! Ano, jeszcze tę ziemię kochaną ucałuję, ano jeszcze nóżki Twoje krwawe ścisnę... i idę, Chryste! idę!...

I poszedł.

A w rejestrze niebieskim, w którym zapisują złe i dobre uczynki ludzkie, przemazano mu w tej chwili wszystkie winy, bo to był człowiek zupełnie poprawiony.

ROZDZIAŁ VI.

Żadna księga nie wypisała, ile jeszcze bitew stoczyły wojska, szlachta i lud Rzeczypospolitej z nieprzyjaciółmi. Walczono po lasach, polach, po wsiach, miasteczkach i miastach; walczono w Prusach Królewskich i Książęcych, na Mazowszu, w Wielkopolsce, w Małopolsce, na Rusi, na Litwie i Żmudzi; walczono bez wytchnienia we dnie i w nocy.

Każda grudka ziemi nasyciła się krwią. Nazwiska rycerzy, prześwietne czyny, wielkie poświęcenia zginęły w pamięci, bo nie zapisał ich kronikarz i nie wyśpiewała lutnia. Ale pod potęgą tych usiłowań ugięła się wreszcie moc nieprzyjacielska.

I jako gdy wspaniały lew, który przed chwilą, przeszyty pociskami, leżał jak martwy, podniesie się nagle: a wstrząsnąwszy królew-

ską grzywą, ryknie potężnie, wnet myśliwców przejmuje straćh blady i nogi ich «wracają się ku ucieczce, — tak owa Rzeczpospolita powstała coraz groźniejsza, jowiszowego gniewu pełna, światu całemu stawić czoła gotowa; w kości zaś napastników zstąpiła niemoc i strach. Nie o zdobyczy już myśleli, ale o tern jeno, by ze lwiej paszczęki głowy całe dio domowych pieleszy unieść.

Nie pomogły nowe ligi, nowe zastępy Węgrów, Siedmiogrodzian, Kozaków i Wołoszy. Przeszła wprawdzie jeszcze raz burza między Krakowem, Warszawą i Brześciem, lecz się o piersi polskie rozbiła i wkrótce marnym rozwiała się tumanem.

Król szwedzki, pierwszy zwątpiwszy o sprawie, na duńską wojnę odjechał; zdradziecki elektor, korny przed silnym, zuchwały przed słabszym, czołem do nóg Rzeczypospolitej uderzył i Szwedów bić począł; zbójeckie zastępy „rzeźników“ Rakoczego zmykały co sił ku swym siedmiogrodzkim komyszom, które pan Lubomirski ogniem i mieczem spustoszył.

Lecz łatwiej im było wtargnąć w granice Rzeczypospolitej, niż wyjść z nich bez kary. Więc gdy dopadnięto ich u przeprawy, grafowie siedmiogrodzcy, klęcząc przed panem Potockim, Lubomirskim i Czarnieckim, w prochu żebrali o litość.

— Oddamy broń, oddamy miljony! — wołali — jeno pozwólcie nam odejść!

I przyjąwszy okup, hetmani zlitowali się nad tein wojskiem nędzników; lecz orda roz-niosła ich na kopytach końskich u samych już progów domowych.

Spokój począł zwolna wracać na polskie równiny. Król jeszcze pruskie fortece odbierał, pan Czarniecki miał do Danji zanieść miecz polski, bo Rzeczpospolita nie chciała już po-przestać na samem wypędzeniu nieprzyjaciół.

Odbudowywały się ze zgliszczów wsie i mia-sta; ludność wracała z lasów, pługi pojawiły się na roli.

Jesienią 1657 roku, zaraz po wojnie węgier-skiej, cicho już było w większej części ziem i powiatów, cicho zwłaszcza na Żmudzi.

Ci z laudańskich, którzy swego czasu poszli z panem Wołodyjowskim, byli jeszcze gdzieś hen! w polu, ale już oczekiwano ich powrotu.

Tymczasem w Morozach, Wołmontowiczach, Drożejkanach, Mozgach, Goszczunach i Pacu-nelach niewiasty, podloty [1] obu płci i starcy orali, siali oziminy, odbudowywali wspóhiemi siłami chaty w tych „okolicach“, przez które pożar przeszedł, aby wojownicy po powrocie znaleźli przynajmniej dach nad głową i gło-dem nie potrzebowali przymierać.

Oleńka siedziała od niejakiego czasu w Wo-doktach z Anusią Borzobohatą i miecznikiem. Pan Tomasz do swoich Billewicz się nie śpie-szył, raz dlatego, że były spalone, a po wtóre,

---

[1] młodzież.

że mu milej było przy dziewczynach, niż samemu. Tymczasem przy pomocy Oleńki zagospodarowywał Wodokty.

Panna zaś chciała jak najlepiej zagospodarować Wodokty, te bowiem miały wraz z Mitrmnami stanowić jej wiano klasztorne, inaczej mówiąc, przejść na własność zakonu benedyktynek, u których w sam dzień przyszłego Nowego Roku zamierzała biedna Oleńka rozpocząć nowicjat.

Rozważywszy bowiem wszystko, co ją spotkało, i owe losów odmiany i zawody i boleści, przyszła do przekonania, że taka, ii nie inna, musi być wola Boża. Zdawało się jej, że jakaś ręka wszechmocna popycha ją do celi, że jakiś głos mówi jej:

— Tam ono najlepsze uspokojenie i koniec wszystkich trosk światowych !

Więc postanowiła pójść za tym głosem: Czując jednak w głębi sumienia, że jeszcze jej dusza nie zdołała oderwać się zupełnie od ziemi, pragnęła pierwej przygotować ją gorącą pobożnością, dobremi uczynkami i pracą. Często też w tych usiłowaniach przeszkadzały jej echa ze świata.

Oto naprzykład, poczęli ludzie przebąkiwać, że ów przesławny Babilliez był to Kmicic. Jedni zaprzeczali gorąco, drudzy powtarzali wieść uporczywie.

Oleńka nie uwierzyła. Nadto przytomne były w jej pamięci wszystkie uczynki Kmi-

cica i jego u Radziwiłłów służby, aby cboeiaż na chwilę przypuszczać mogła, że on jest pogromcą Bogusława i tak wiernym sługą królewskim, takim gorącym patrjotą. Jednak jej spokój został zmącony, a żal i ból podniosły się na nowo w jej piersi.

Można było temu zaradzić przyśpieszonem wejściem do klasztoru, lecz klasztory były rozproszone; mniszki, które nie zginęły od żołdackiej swawoli w czasie wojny, poczynały dopiero się zbierać.

Nędza też panowała w kraju powszechna, i kto się chciał w mury konwentów chronić, rnusiał nietylko z własnym chlebem przychodzić, ale i cały konwent nim żywić.

Oleńka chciała przyjść właśnie z chlebem do klasztoru, zostać nietylko siostrzyczką, ale i karmicielką mniszek.

Miecznik, wiedząc, że na chwałę Bożą ma iść jego praca, pracował gorliwie. Objeżdżali więc razem pola i folwarki, pilnując prac jesiennych, które z przyszłą wiosną miały plon przynieść. Czasem towarzyszyła im Anusia Borzoibohata, która, nie mogąc przenieść afrontu, jaki jej Babinicz uczynił, groziła, że także do klasztoru wstąpi i czeka tylko, aby pan Wołodyjowski odprowadził laudańskich, bo się chce z dawnym przyjacielem pożegnać. Częściej jednak miecznik z samą tylko Oleńką puszczał się na objazdy, bo Anusię nudziło gospodarstwo.

Pewnego razu wyjechali oboje na podjezdkach do Mitrunów, w których odbudowywano pogorzałe czasu wojny stodoły i obory.

Po drodze mieli wstąpić do kościoła, bo to była właśnie rocznica wołmontowickiej bitwy, w której z ostatniej toni zostali przez nadejście Babinicza uratowani. Cały dzień zeszedł im na rozlicznych zajęciach, tak, że dopiero pod wieczór mogli wyruszyć z Mitrunów.

W tamtą stronę jechali drogą kościelną, ale wracać wypadało im koniecznie na Lubicz i Wołmontowicze. Panna, ledwie ujrzała pierwsze dymy lubickie, zaraz odwróciwszy oczy, poczęła szybko odmawiać pacierze, aby bolesne myśli odegnać, miecznik zaś jechał w milczeniu i tylko rozglądał się dokoła.

Wreszcie, gdy już minęli kołowrót, rzekł:

—; Senatorska to gleba! Lubicz za dwoje Mitrunów stanie.

Oleńka dalej odmawiała pacierze.

Lecz w mieczniku przebudził się widocznie dawny zawołany gospodarz, a może i szlachcic do pieniactwa potrosze skłonny, bo po chwili rzekł znowu, jakby sam do siebie:

— A przecie po prawdzie to nasze... Stara biłlewiczowska substancja, nasz pet, nasz trud. Tamten nieszczęśnik rnusiał dawno zginąć, skoro się nie zgłosił, a choćby się i zgłosił, prawo za nami!

Tu zwrócił się do Oleńki:

— Co myślisz, proszę?

Na to panna:

— Przeklęte to miejsce. Niech się z niem co chce dzieje.

— Ale bo, widzisz, prawo za nami. Miejsce przeklęte było w złych rękach, a stanie się błogosławione w dobrych. Prawo za nami!

— Nigdy! Nie chcę o niczem wiedzieć. Dziaduś bez restrykcji [1] zapisał, niechże jego krewni biorą.

To rzekłszy, popędziła podjezdka; miecznik dał także swojemu ostrogi i nie zwolnili aż w czystem polu. Tymczasem zapadła noc, ale widno było zupełnie, bo ogromny, czerwony miesiąc wynurzył się z za wołmontowickiego lasu i rozświecił całą okolicę złotym blaskiem.

— A no! dał Bóg piękną noc — ozwał się miecznik, patrząc w kolisko księżyca.

— Jakto się Wołmontowicze świecą zdaleka! — rzekła Oleńka.

— Bo drzewo jeszcze na domach nie sczerniało.

Dalszą rozmowę przerwało im skrzypienie wozu, którego zrazu dojrzeć nie mogli, bo droga w tern miejscu szła falisto, wkrótce jednak ujrzeli parę koni, za nią następną parę przy dyszlu, a wkońcu drabiniasty półtorak [2], otoczony przez kilku jeźdźców.

— Co to za ludzie mogą być? — rzekł miecznik.

---

[1] zastrzeżenia. [2] szeroki wóz.

I zatrzymał konia; Oleńk;i stanęła przy nim. Tamci przez ten czas zbliżali się coraz więcej, nakoniec przyjechali tuż.

— Stój! — zawołał miecznik. — A kogo to tam wieziecie?

Jedten z jeźdźców zwrócił się ku nim:

— Pana Kmicica wieziem, który pod Magierowem od Węgrzynów postrzelon.

— Słowo stało się ciałem! — zakrzyknął miecznik.

Oleńce świat cały zakręcił się nagle w oczach; serce w niej zamarło, piersiom zabrakło oddechu. Głosy jakieś wołały jej w duszy: „Jezusie, Marjo! To on!“ — Poczem całkiem opuściła ją świadomość, gdzie jest, co się z nią dzieje.

Ale nie spadła z konia na ziemię, bo ręką chwyciła konwulsyjnie za drabinę wozu. I z chwilą, gdy przyszła do przytomności, oczy jej padły na nieruchomy kształt ludzki, leżący na wozie. Tak, to był on, pan Andrzej Kmicic, chorąży orszański. I leżał nawznak na wozie; głowę miał obwiniętą w chusty, ale przy czerwonym blasku miesiąca widać było doskonale jego twarz białą i spokojną, jakby z marmuru wykutą lub zlodowaciałą pod tchnieniem śmierci. Oczy miał głęboko zapadłe i zamknięte, życie nie zdradzało się w nim najmniejszym ruchem.

— Z Bogiem!... — rzekł, zdejmując czapkę, pan miecznik,

— Stój! — zawołała Oleńka.

I poczęła pytać cichym, ale prędkim, jakoby gorączkowym głosem:

— Żyw jeszcze, czy zmarły?

— Żyw, ale śmierć nad nim.

Tu miecznik, spojrzawszy na twarz Kmicica, ozwał się znowu:

— Nie dowieziecie go do Lubicza.

— Kazał się koniecznie tam wieźć, bo tam clice umrzeć.

— Z Bogiem! Śpieszcie się!

— Czołem bijemy!

I wóz ruszył dalej, a Oleńka z miecznikiem skoczyli, co tchu w koniach, w przeciwną stronę. Przelecieli przez Wołmontowicze, jak dwa widziadła nocne, i dopadli do Wodoktów, nie mówiąc do siebie ni słowa przez drogę; dopiero zsiadając z konia, Oleńka zwróciła się do stryja:

— Księdza mu trzeba posłać! — rzekła zdyszanym głosem — niech w tej chwili ktoś do Upity rusza!

Miecznik zajął się żywo spełnieniem polecenia, ona zaś wpadła do swojej izby i rzuciła się na kolana przed obrazem Najświętszej Panny.

W parę godzin potem, późną już nocą, dzwonek ozwał się przed bramą Wodoktów. To ksiądz przejeżdżał z Panem Jezusem do Lubicza.

Panna Aleksandra klęczała ciągle. Usta jej powtarzały litanję, którą się przy konających odmawia. A gdy ją odmówiła, po trzykroć poczęła bić głową o podłogę i powtarzać ustawicznie:

— Panie! policz mu, że z ręki nieprzyjaciół ginie! Panie, policz mu, że z ręki nieprzyjaciół ginie!... Odpuść <mu! zmiłuj się nad nim!...

Na tem zeszła jej cała noc. Ksiądz bawił w Lubiczu aż do rana, a wracając, sam wstąpił do Wodoktów. Ona wybiegła na jego spotkanie.

— Czy już?... — spytała.

I nie mogła mówić więcej, bo jej oddechu zbrakło.

—■ Żyw jeszcze — odrzekł ksiądz.

Przez następnych dni kilkanaście codzień posłańcy latali z Wodoktów do Lubicza i każdy wracał z odpowiedzią, że pan chorąży „żyw jeszcze“, nakoniec jeden przywiózł wiadomość, którą od cyrulika, sprowadzonego z Kiejdan, usłyszał, że nietylko żyw, ale i zdrowy będzie, bo postrzały goją się szczęśliwie i siły rycerzowi wracają.

Panna Aleksandra posłała hojne ofiary na niszę dziękczynną do Upity, ale od owego dnia przestali chodzić posłańcy i — dziwna rzecz! — w sercu dziewczyny, razem z uspokojeniem, począł się budzić dawny żal do pana Andrzeja. Winy jego przychodziły jej znowu co chwila do myśli, tak ciężkie, że nie

do odpuszczenia. Śmierć jedynie mogła je pokryć niepamięcią... Gdy wracał do zdrowia, ciążyły znów nad nim... A jednak wszystko, co było można przytoczyć na jego obronę, powtarzała sobie codzień biedna Oleńka.

Tyle się zaś nagryzła przez te dni, tyle jednak rozterki było w jej duszy, że aż na zdrowiu poczęła szwankować.

Zaniepokoiło to wielce pana Tomasza, więc pewnego wieczora, gdy zostali sami, spytał ją:'

— Oleńka, powiedz-no mi szczerze, co ty myślisz o chorążym orszańskim?

— Bogu wiadomo, że nie chcę o nim myśleć! — odrzekła.

— Bo to widzisz... pochudłaś... Hm!... Być może, że ty jeszcze... Jać nie nalegam na nic, jeno radbym wiedzieć, co się tam w tobie dzieje... Zali nie mniemasz, że wola nieboszczyka dziada twego powinna się spełnić?

— Nigdy! — odrzekła Oleńka. — Dziaduś zostawił mi też furtę otwartą... a ja do niej na Nowy Rok zapukam. W tern spełni się jego wola.

— Nie wierzyłem i ja temu zgoła, — odparł miecznik, — co tu niektórzy przebąkiwali, że Babinicz a Kmicic to jedno, ale przecie pod Magierowem przy ojczyźnie a przeciw nieprzyjaciołom się już oponował i krew rozlał. Późna to poprawa, aleć zawsze poprawa!

— A przecie i książę Bogusław już teraz królowi i Rzeczypospolitej służy — odpowie-

działa z żalem panna. — Niechże im Bóg obydwom przebaczy, a zwłaszcza temu, który krew rozlał... Ludzie wsizelako zawsze będą mieli prawo powiedzieć, że oto w chwili największego nieszczęścia, w chwili klęsk i upadku, na tę ojczyznę nastawali, a nawrócili się do niej dopiero wtedy, gdy nieprzyjaciołom powinęła się już noga i gdy korzyść własna nakazywała ze zwycięzcą trzymać. Ot, w czem ’ich wina! Teraz już niema zdrajców, bo niema zysku ze zdrady! Ale jaka w tern zasługa?... Zali nie nowy to dowód, że tacy ludzie gotowi zawsze mocniejszemu służyć? Bógby dał, Bógby dał! żeby inaczej było, ale takich win Magierów nie opłaci...

— Prawda jest! Nie mogę negować! — odrzekł miecznik. — Ciężka prawda, ale zawsze prawda! Wszyscy dawniejsi zdrajcy w czambuł do króla przeszli.

— Nad chorążym orsizańskim — mówiła dalej panna — ciąży jeszcze straszniejszy niż na księciu Bogusławie zarzut, bo pan Kmicic ofiarował się przecie na króla rękę podnieść, czego się sam książę przeląkł. Zali przypadkowy postrzał może to zmazać?... Tę rękę pozwoliłabym sobie uciąć, gdyby tego nie było... ale to było, jest i nie odstanie się więcej! Bóg widocznie zostawił mu życie właśnie dlatego, żeby mógł pokutować... Mój stryju! Mój stryju! toźbyśmy się oszukiwali sami, gdybyśmy clicieli w siebie wmówić, że on jest

czysty. I co stąd za zysk? Zali sumienie da się oszukać? Niechże się dzieje wola Boska. Co się rozerwało, to nie zwiąże się więcej i nie powinno! Szczęśliwam, że pan chorąży żywię... przyznaję, ho znać, że Bóg nie odwrócił jeszcze całkiem od niego łaski swojej... Ale dość mi na tern! Szczęśliwa będę, gdy usłyszę, że zmazał winy, ale niczego więcej nie clicę, nie pragnę! — choćby tam dusza we mnie jeszcze pocierpieć miała... Niechaj go Bóg wspomaga...

Tu Oleńka dłużej nie mogła mówić, bo płacz ją porwał wielki i żałosny, ale był to płacz ostatni. Wypowiedziała wszystko, co nosiła w sercu, i od tej pory spokój znów począł jej wracać.

ROZDZIAŁ VII.

Rogata dusza junacka nie chciała istotnie wychodzić z cielesnej powłoki, i nie wyszła. W miesiąc po powrocie do Lubicza rany pana Andrzeja poczęły się goić, wcześniej zaś jeszcze odzyskał przytomność, i rozejrzawszy się po izbie, zgadł zaraz, iż już jest w Lubiczu.

Następnie począł wołać wiernego Soroki.

— Soroka! — rzekł — miłosierdzie Boże jest nade mną! Czuję, iż nie umrę!

— Wedle rozkazu! — odpowiedział stary żołnierz, rozgniatając łzę kułakiem.

A Kmicic mówił dalej, jakby sam do siebie:

— Skończona pokuta... widzę to jaśnie. Miłosierdzie Boże jest nade mną!

Potem milczał przez chwilę, jeno mu się wargi poruszały modlitwą.

— Soroka! — rzekł znów po chwili.

— Do usług waszej miłości!

— A kto tam jest w Wodoktacli?

— Jest panna i pan miecznik rosieński.

— Pochwalone imię Pańskie! Przychodził-li tu kto pytać się o mnie?

— Przysyłali z Wodoktów, pókiśmy nie powiedzieli, że wasza miłość zdrów będzie.

— A potem przestali przysyłać?

— Potem przestali.

Na to Kmicic:

— Nic jeszcze nie wiedzą, ale się ode mnie samego dowiedzą. Nie mówiłżeś nikomu, żem tutaj jako Babinicz wojował?

— Nie było rozkazu — odrzekł żołnierz.

— A laudańscy z panem Wołodyjowskim nie wrócili jeszcze?

— Niemasz ich jeszcze, ale lada dzień zjadą.

Na tern skończyła się pierwszego dnia rozmowa. We dwa tygodnie później pan Kmicic wstawał już i chodził na kulach, a następnej niedzieli uparł się jechać do kościoła.

— Pojedziem do Upity, — rzekł do Soroki, — bo od Boga trzeba poczynać, a po mszy do Wodoktów.

Soroka nie śmiał się sprzeciwiać, więc kazał jeno wymościć sianem skarbniczek i, a pan Andrzej wystroił się odświętnie — i pojechali.

Przyjechali wczas, gdy mało jeszcze ludzi było w kościele. Pan Andrzej, wsparty na ramieniu Soroki, podszedł pod sam wielki ołtarz i klęknął w kolatorskiej [2] ławce; nikt też go nie poznał, tak zmienił się wielce; twarz miał bardzo chudą, wynędzniałą, a przytem nosił długą brodę, która mu czasu wojny i choroby wyrosła. Kto i spojrzał na niego, pomyślał że jakiś przejezdny personat na mszę wstąpił; kręciło się bowiem wszędzie pełno przejezdnej szlachty, która z pola do swych majętności wracała.

Lecz kościół zwolna napełniał się ludem i okoliczną szlachtą; zaczem poczęli zjeżdżać i posesjonaci z dalekich stron, bo w wielu miejscach kościoły były popalone i mszy trzeba było aż w Upicie szukać.

Kmicic, zatopiony w modlitwie, nie widział nikogo; z pobożnego zamyślenia zbudziło go dopiero skrzypienie ławki pod nogami wchodzących do niej osób.

Wówczas podniósł głowę, spojrzał — i spostrzegł tuż nad sobą słodką a smutną twarz Oleńki.

Ona także dostrzegła go i poznała w tej chwili, bo cofnęła się nagle, jakby przerażona;

---

[1] wóz podróżny. [2] przeznaczonej dla właściciela majątku, w którym kościół się znajduje.

naprzód płomień, a potem bladość śmiertelna wystąpiła na jej twarz, lecz najwyższem wysileniem woli przemogła wrażenie i klękła tuż koło niego; trzecie miejsce zajął pan miecznik.

I Kmicic i ona pochylili głowy, i wsparłszy twarz na dłoniach, klęczeli obok siebie w milczeniu, a serca biły im tak, że je słyszeli oboje doskonale. Wreszcie pan Andrzej przemówił pierwszy:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

— Na wieki wieków... — odrzekła półgłosem Oleńka.

I więcej nie mówili do siebie.

Tymczasem ksiądz wyszedł z kazaniem; słuchał go Kmicic, ale, mimo usiłowań, i nie słyszał, i nie rozumiał. Oto ona, ta upragniona, do której od lat całych już tęsknił, która nigdy nie schodziła mu z myśli i z serca, była teraz tuż pod jego bokiem. I czuł ją koło siebie, i nie śmiał zwracać ku niej oczu, bo był w kościele, lecz przymknąwszy powieki, łowił uchem jej oddech.

— Oleńka! Oleńka przy mnie! — mówił sobie — oto Bóg nam się w kościele po rozłące spotkać kazał...

Więc myśli jego i serce powtarzały bezustanku to imię:

— Oleńka, Oleńka, Oleńka!

I chwilami płacz radości chwytał go za gardło, to znów porywało go takie uniesienie

dziękczynnej modlitwy, że aż świadomość tracił, co się z nim dzieje.

Ona klęczała ciągle z twarzą ukrytą w dłoniach.

Ksiądz skończył kazanie i zszedł z ambony.

Nagle przed kościołem rozległ się szczęk broni i tętent kopyt końskich. Ktoś krzyknął przed progiem kościoła: „Lauda wraca!“ — i wnet w samej świątyni zerwały się szmery, potem gwar, potem coraz głośniejsze wołanie:

—. Landa! Landa!

Tłumy poczęły się kołysać, wszystkie głowy zwróciły się naraz ku drzwiom.

A wtem zaroiło się we drzwiach i hufiec zbrojny pojawił się w kościele. Na czele szli z brzękiem ostróg pan Wołodyjowski i pan Zagłoba. Tłumy rozstępowały się przed nimi, a oni przeszli przez cały kościół, klękli przed ołtarzem, pomodlili się krótką chwilę, poczem obaj weszli do zakrystji.

Laudańscy zatrzymali się w pół nawy, nie witając się dla powagi miejsca z nikim.

Ach! co za widok! Groźne twarze, ogorzałe od wichrów, wychudłe z trudów bojowych, pocięte szablami Szwedów, Niemców, Węgrów, Wołochów. Cała historja wojny i chwała pobożnej Laudy mieczem na nich wypisana. Oto ponure Butrymy, oto Stakjany, Domaszewicze, Gościewicze, — wszystkich potrosze. Lecz ledwie czwarta część wróciła z tych, którzy ongi pod Wołodyjowskim z Laudy wyruszyli.

Wiele niewiast napróżno szuka mężów, wielu starców napróżno wypatruje synów, więc płacz wzmaga się, bo i ci, którzy znajdują swoich, płaczą z radości. Cały kościół rozlega się szlochaniem; od czasu do czasu głos jakiś imię kochane wykrzyknie i zmilknie, — a oni stoją w chwale, wsparci na mieczach, lecz i im po srogich bliznach łzy spływają na wąsiska.

Wtem dzwonek, targnięty przy drzwiach zakrystji, uciszył płacze i gwary. Wszyscy klękli, wyszedł ksiądz ze mszą, a za nim w komżach pan Wołodyjowski i pan Zagłoba, i ofiara się rozpoczęła.

Lecz ksiądz także był wzruszony, i gdy pierwszy raz zwrócił się do ludu, mówiąc: „Dominus vobiscum!“ [1] — głos mu drgał; gdy zaś przyszło do ewangelji i wszystkie szable naraz wysunęły się z pochew, na znak, że Lauda zawsze gotowa wiary bronić, a w kościele stało się aż jasno od stali, to ledwie mógł odśpiewać ewangelję.

Odśpiewano potem wśród powszechnego uniesienia suplikacje, wreszcie msza się skończyła, lecz ksiądz, pochowawszy Sakrament w cyborjum, odwrócił się już po ostatniej ewangelji ku tłumom, na znak, że pragnie coś powiedzieć.

Więc uczyniło się cicho; ksiądz zaś w serdecznych słowach powitał naprzód wracają-

---

[1] Pan z wami!

cych żołnierzy, wreszcie oznajmił, że list królewski zostanie odczytany, przez pułkownika chorągwi laudańskiej przywieziony.

Więc uczyniło się jeszcze ciszej, i po chwili po całym kościele rozległ . się głos od ołtarza:

„My, Jan Kazimierz, król polski, wielki książę litewski, mazowiecki, pruski, etc. etc. etc. W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, amen.

„Jako złych ludzi szpetne przeciw majestatowi i ojczyźnie występki, zanim przed sądem niebieskim staną, już w tern życiu doczesnem mają otrzymać karę, tak równie słusznem jest, ażeby cnota nie zostawała bez nagrody, która cnocie samej blasku chwały, a potomnym zachęty do naśladowania cnych przykładów dodawać winna.

„Przeto wiadomo czynimy całemu stanowi rycerskiemu, mianowicie zaś ludziom wojskowym i świeckim urzędy mającym, cuiusvis dignitatis et praeminentiae[1], oraz wszystkiemu obywatelstwu Wielkiego Księstwa Litewskiego i naszego starostwa żmudzkiego, że jakiekolwiek gravamina ciążyłyby na urodzonym a nam wielce miłym panu Andrzeju Kmicicu, chorążym orszańskim, te coram [2] jego następnych zasług i chwały zniknąć z pamięci ludzkiej mają, w niczem czci i sławy ipomienionemu chorążemu orszańskiemu nie ujmując“. [1]

---

[1] jakiejkolwiek godności i dostojeństwa. [2] wobec.

Tu ksiądz przestał ozytać i spojrzał ku ławce, w której pan Andrzej siedział, on zaś powstał na chwilę i wnet usiadł znowu,, głowę swą wynędzniałą wsparł o dalę [1] i przymknął powieki, jakoby w omdleniu.

A wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, wszystkie usta poczęły szeptać:

— Pan Kmicic! Kmicic! Kmicic!... tam, obok Billewiczów!

Lecz ksiądz skinął ręką i począł czytać dalej, wśród głuchego milczenia:

„Który chorąży orszański, lubo w początkach nieszczęsnej owej szwedzkiej inkursji po stronie księcia wojewody się opowiedział, przecie uczynił to nie z żadnej prywaty, ale z najszczerszej ku ojczyźnie intencji, perswazją tegoż księcia do błędu przywiedzion, jakoby taka jeno, a nie inna, droga salutis Reipublicae [2] zostawała, jaką sam książę kroczył.

„A przybywszy do księcia Bogusława, który, za przedawczyka go mając, wszystkie nieżyczliwe praktyki przeciw ojczyźnie jaśniej przed nim odkrył, nietylko pomieniony chorąży orszański na osobę naszą ręki podnosić nie obiecywał, ale samego księcia zbrojną ręką porwał, aby się za nas i za utrapioną ojczyznę pomścić..."

---

[1] tu: płytę, stanowiącą tylne oparcie ławy. [2] ratowania Rzeczypospolitej.

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznej! — zawołał niewieści głos tuż około pana Andrzeja, a w kościele zerwał się znowu gwar zdumienia.

Ksiądz czytał dalej:

„Przez tegoż księcia postrzelon, ledwie do zdrowia przyszedłszy, do Częstochowy się udał i tani piersią własną najświętszy przybytek osłaniał, przykład wytrwania i męstwa wszystkim dając; tamże z niebezpieczeństwem zdrowia i życia największe działo burzące prochami rozsadził, przy którym hazardzie pojmali, na śmierć przez okrutnych nieprzyjaciół był skazany, a przedtem żywym ogniem palony...“

Tu już płacz niewieści rozległ się tu i owdzie po kościele. Oleńka trzęsła się cała, jak w paroksyzmie febry.

„Ale i z tych srogich terminów, mocą Królowej Anielskiej wyratowali, do nas na Śląsk się udał, i w powrocie naszym do miłej ojczyzny, gdy zdradliwy nieprzyjaciel zasadzkę nam nagotował, pomieniony chorąży orszański samoczwart tylko na całą potęgę nieprzyjacielską się rzucił, osobę naszą ratując. Tam posieczon i rapierami skłuty, do półboków we krwi własnej rycerskiej się pławiąc, z pobojowiska jako bez duszy był podniesion...“

Oleńka obie ręce przyłożyła do skroni, i podniósłszy głowę, poczęła łowić w spieczone usta powietrze. Z piersi jej wychodził jęk:

— Boże! Boże! Boże!

I znów zabrzmiał głos księdza, także coraz bardziej wzruszony:

„A gdy staraniem naszem do zdrowia przyszedł, i wtedy nie spoczął, ale dalsze wojny odprawował, z chwałą niezmierną stawając w każdej potrzebie, za wzór rycerstwu przez hetmanów obojga narodów podawany, aż do szczęśliwego zdobycia Warszawy, po którem do Prus pod przybranem nazwiskiem Babinieza był wyprawiony...“

Gdy to imię zabrzmiało w kościele, gwar ludzki zmienił się jakoby w szmer fali. Więc Babinicz, to on?! Więc ów pogromca Szwedów, zbawca Wołmontowicz, zwycięzca w tylu bitwach, to Kmicic?!... Szum wzmagał się coraz bardziej, tłumy poczęły cisnąć się ku ołtarzowi, aby go widzieć lepiej.

— Boże błogosław mu! Boże błogosław! — ozwały się setki głosów.

Ksiądz zwrócił się ku ławce i przeżegnał pana Andrzeja, który, wsparty ciągle o dalę, do umarłego, niż do żywego był podobniejszy, bo dusza wyszła zeń ze szczęścia i uleciała ku niebiosom.

Poczem kapłan dalej czytał:

¡„Tamże nieprzyjacielski kraj ogniem i mieczem spustoszył, do wiktorji pod Prostkami głównie się przyczynił, księcia Bogusława własną ręką obalił i pojmał, następnie do starostwa naszego żmudzkiego powołany, jak nie-

zmierne usługi oddał, ile miast i wsiów od nieprzyjacielskiej ręki uchronił, o tern tamtejsi incolae [1] najlepiej wiedlzieć powinni“.

— Wiemy! wierny! wiemy! — grzmiało w całym kościele.

— Uciszcie się — rzeki ksiądz, podnosząc pismo królewskie ku górze.

„Przeto my — czytał dalej — rozważywszy wszystkie jego zasługi względem naszego majestatu i ojczyzny, tak niezmierne, że i syn większych ojcu i matce oddaćby nie mógł, postanowiliśmy je w tym liście naszym promulgować, ażeby tak wielkiego kawalera, wiary, majestatu i Rzeczypospolitej obrońcę, nieżyczliwość ludzka dłużej już nie ścigała, lecz aby przynależną cnotliwym chwałą i powszechną miłością okryty chodził. Nim zaś sejm następny, chęci te nasze potwierdzając, wszelką zmazę z niego zdejmie, i nim starostwem upickiem, które vacat, nagrodzić go będziem mogli, prosirn uprzejmie nam miłych obywatelów starostwa naszego żmudzkiego, aby te słowa nasze w sercach i umysłach zatrzymali, które nam sama justitia, fundamentum regnorum [2], przesłać, ku ich pamięci, nakazała“.

Tu skończył ksiądz, i zwróciwszy się do ołtarza, modlić się począł; pan Andrzej zaś uczuł nagle, że jakaś dłoń miękka chwyta

---

[1] mieszkańcy. [2] sprawiedliwość, podstawa królestw.

jego rękę, — spojrzał: była to Oleńka —■ i nim miał czas po,miarkować się, cofnąć dłoń, panna podniosła ją i przycisnęła do ust wobec wszystkich, w obliczu ołtarza i tłumów.

— Oleńka! — krzyknął zdumiony Kmicic.

Lecz ona wstała, i zakrywszy twarz zasłoną, rzekła do miecznika:

— Stryju! chodźmy, chodźmy stąd prędko!

I wyszli przez drzwi zakrystji.

Pan Andrzej próbował wstać, wyjść za nią, lecz nie mógł... Siły opuściły go zupełnie.

Natomiast w kwadrans później znalazł się przed kościołem, trzymany pod ręce przez pana Wołodyjowskiego i pana Zagłobę.

Tłumy obywatelstwa, drobnej szlachty i pospolitego ludu cisnęły się dokoła; niewiasty —• zaledwie która zdołała się oderwać od piersi wracającego z wojny męża — już wiedzione ciekawością, płci swojej właściwą, biegły popatrzyć na tego strasznego ongi Kmicica, dziś zbawcę Laudy i przyszłego starostę. Koło zaciskało się coraz więcej, aż laudańscy musieli wkońcu otoczyć i bronić od natłoku rycerza.

— Panie Andrzeju! — wołał pan Zagłoba — ot, przywieźliśmy ci gościńca. Sam się takiego nie spodziewałeś! Do Wodoktów teraz; do Wodoktów, na zrękowiny i wesele!...

Dalsze słowa pana Zagłoby zginęły w gromkim okrzyku, który naraz pod przywództwem Józwy Beznogiego podnieśli wszyscy laudańscy:

— Niech żyje pan Kmicic!

— Niech żyje! — powtórzyły tłumy. — Nasz starosta upicki niech żyje! niech żyje!

— Do Wodoktów! wszyscy! — huknął znowu pan Zagłoba.

— Do Wodoktów! do Wodoktów! — wrzasnęło tysiąc ust. — W swaty do Wodoktów, z panem Kmicicem, z naszym izbawcą! Do panienki! do Wodoktów!

1 ruch uczynił się ogromny. Landa siadła na koń; z tłumów, kto żyw, dopadał wozów, bryczek, wasągów, podjezdków. Piesi naprzełaj poczęli biec przez lasy i pola. Okrzyk: „Do Wodoktów!“ brzmiał w całein miasteczku. Drogi zaroiły się różnobarwnemi kupami ludzi.

Pan Kmicic jechał w skarbniczki! między Wołodyjowskim i Zagłobą i raz wraz któregoś brał w ramiona. Mówić jeszcze nie mógł, bo zbyt był wzruszony, zresztą pędzili tak, jakby Tatarzy na Upitę napadli. Wszystkie bryki i wozy pędziły tak samo koło nich.

Byli już dobrze za miastem, gdy nagle pan Wołodyjowski pochylił się do ucha Kmicica.

— Jędrek, — spytał się, — a nie wiesz, gdzie tamta?

— W Wodoktach! — odpowiedział rycerz.

Wówczas, czy wiatr poćzął tak poruszać wąsikami pana Michała, czy wzruszenie, niewiadomo, — dość, że przez całą drogę nie

przestawały wysuwać się naprzód, jakby dwa szydła, lub dwie macki chrabąszcza.

Pan Zagłoba śpiewał z radości tak okrutnym basem, że aż się konie płoszyły:

Dwoje nas było Kasieńko, dwoje na świecie,
Ale mi się coś wydaje, że jedzie trzecie.

Anusia nie była tej niedzieli w kościele, bo przy słabej pannie Kulwiecównie zkolei zostać musiała, przy której się z Oleńką dzień po dniu zmieniały.

Cały ranek zajęta była doglądaniem i opatrunkiem chorej, tak, że późno dopiero mogła się zabrać do pacierzy.

Zaledwie jednak wymówiła ostatnie: „Amen“, gdy zaterkotało przed bramą i Oleńka wipadła jak wicher do pokoju.

— Jezus Marja! Co się stało?! — krzyknęła, spojrzawszy na nią, panna Borzobohata.

— Anusiu! wiesz, kto jest pan Baibinicz?... To pan Kmicic!

Anusia zerwała się na równe nogi.

— Kto ci powiedział?

— Czytano list królewski... pan Wołodyjowski przywiózł... laudańscy...

— To pan Wołodyjowski wrócił?... — krzyknęła Anusia.

I nagle rzuciła się w ramiona Oleńki.

Oleńka przyjęła ten wybuch czułości jako dowód Anusinego afektu dla siebie, bo zre-

sztą była zgorączkowana, prawie nieprzytomna. Na twarzy miała ogniste wypieki, a pierś jej falowała, jakgdyby z wielkiego zmęczenia.

Więc poczęła opowiadać bez ładu i przerywanym głosem wszystko, co w kościele słyszała, biegając przytem jak szalona po komnacie i powtarzając co chwila: „To ja go nie warta!“ — czyniąc sobie zarzuty okrutne, że go najgorzej ze wszystkich krzywdziła, że nawet modlić się za niego nie chciała, wówczas, gdy on we krwi własnej za Najświętszą Pannę, za ojczyznę i za króla się pławił.

Próżno Anusia, biegając za nią po izbie, próbowała ją pocieszać. Ona powtarzała wciąż jedno, że go nie warta, że nie śmiałaby mu w oczy spojrzeć; to znów poczynała mówić o czynach Babinicza, o porwaniu Bogusława, o jego zemście, o ocaleniu króla, o Prostkach i Wołniontowiczach i Częstochowie; to wreszcie o swoich winach i o swojej zawziętości, za którą musi odpokutować w klasztorze.

Dalsze jej wyrzekania przerwał pan Tomasz, który wpadłszy jak bomba do komnaty, zakrzyknął:

— Na Boga! cała Upita do nas wali! Już są we wsi, a Babinicz pewnie z nimi!

Jakoż za chwilę daleki krzyk zwiastował zbliżanie się tłumów. Miecznik porwał Oleńkę i wyprowadził na ganek; Anusia wypadła za nimi.

Wtem tłumy ludzi i koni zaczerniły się w dali, i jak okiem sięgnąć cała droga była jeszcze nimi zapchana. Dobiegli wkońcu do dziedzińca. Piesi przedostawali się szturmem przez fosę i płoty; wozy tłoczyły się w bramie, — a wszystko to krzyczało, wyrzucało czapki w górę.

Wreszcie ukazał się buf zbrojny laudańskich, otaczających skarbniczek, w którym siedziało trzech mężów: pan Kmicic, pan Wołodyjowski i pan Zagłoba.

Skarbniczek zatrzymał się nieco opodal, bo już tyle ludu natłoczyło się przed gankiem, że nie można było tuż dojechać. Zagłoba z Wołodyjowskim wyskoczyli pierwsi, i pomógłszy Kmicicowi zsiąść, zaraz chwycili go pod ramiona.

— Rozstąpcie się! — krzyknął Zagłoba.

— Rozstąpić się! — powtórzyli laudańscy.

Ludizie usunęli się zaraz, tak, że środkiem tłuimu utworzyła się pusta droga, po której wiedli Kmicica aż do ganku dwaj rycerze. On słaniał się i blady był bardzo, ale szedł z głową podniesioną, zarazem zmieszany i szczęśliwy.

Oleńka oparła się o odrzwia i ręce opuściła bezwładnie po sukni; lecz gdy był już blisko, gdy spojrzała w twarz tego mizeraka, który po tylu latach rozłąki zbliżał się oto jak Łazarz, bez kropli krwi w twarzy, wówczas szlochanie rozdarło na nowo jej piersi. On, ze

słabości, ze szczęścia i zmieszania nie wiedział sam, co ma mówić, więc wstępując na ganek, powtarzał tylko przerywanym głosem:

— A co, Oleńka, a co ?

Ona zaś obsiunęła mu się nagłe do kolan.

— Jędruś! ran twoich nie godnam całować!

Ale w tej chwili wyczerpane siły wróciły rycerzowi, więc porwał ją z ziemi jak piórko i do piersi przycisnął.

Okrzyk jeden ogromny, od którego zadrżały ściany domów i ostatki liści z drzew opadły, zgłuszył wszystkie uszy. Laudańscy poczęli palić z samopałów, ozapki wylatywały w górę, naokół widziałeś tylko uniesione radością twarze, rozpalone oczy i otwarte usta wrzeszczące :

— Vivat Kmicic! vivat Billewiczówna! Vivat młoda para!

— Vivant dwie pary! — huczał Zagłoba.

Ale głos jego ginął w burzy ogólnej.

Wodokty zmieniły się jakoby w obóz. Przez cały dzień rżnięto z rozkazu miecznika barany i woły, wykopywano z ziemi beczki miodu i piwa. Wieczorem zasiedli wszyscy do uczty, starsi i znamienitsi w komnatach, młodsi w czeladnej, — prostactwo również weseliło się przy ogniskach na podwórzu.

Przy głównym stole krążyły kielichy na cześć dwóch par szczęśliwych, gdy zaś ochota doszła do najwyższego stopnia, pan Zagłoba wzniósł jeszcze toast następujący:

— Do cię zwracam się, cny panie Andrzeju, i do cię, stary druhu, panie Michale! Nie dość było piersi nadstawiać, krew rozlewać, nieprzyjaciół wycinać! Nie skończony trud wasz, bo gdy siła ludzi czasu tej okrutnej wojny poległo, musicie teraz nowych obywatełów, nowych obrońców tej miłej Rzeczypospolitej przysporzyć, do czego, tuszę, nie zbraknie wam męstwa, ni ochoty! Mości panowie! na cześć onych przyszłych pokoleń! Niechże im Bóg błogosławi i pozwoli ustrzec tej spuścizny, którą im odrestaurowaną naszym trudem, naszym potem i naszą krwią, zostawujem. Niech, gdy ciężkie czasy nadejdą, wspomną na nas i nie desperują nigdy, bacząc na to, że niemasz takowych terminów, z którychby się „viribus unitis“ [1] przy Boskich auxiliach podnieść nie można.

* * *

Pan Andrzej niezadługo po ślubie nc nową wojnę ruszył, która od wschodniej ściany wybuchła. Lecz piorunujące zwycięstwo Czarnieckiego i Sapiehy nad Chowańskim i Dołgorukim, a hetmanów koronnych nad Szeremetem, ukończyły ją wkrótce. Wówczas wrócił Kmicic świeżą chwałą okryty i na stałe w Wodoktach osiadł. Chorąstwo orszańskie

---

[1] wspólnemi siłami.

wziął po nim stryjeczny jego, Jakób, który później do nieszczęsnej konfederacji wojskowej należał, — pan Andrzej zaś, duszą i sercem stojąc przy królu, starostwem upickiem nagrodzon, żył długo w przykładnej zgodzie i miłości z Laudą, powszechnym szacunkiem otoczony. Niechętni (ho któż ich nie ma) mówili wprawdzie, że żony we wszystkiem zbytnio słucha, ale on się tego nie wstydził, — owszem sam przyznawał, *że w* każdej ważniejszej sprawie zawsze rady jej zasięga.

KONIEC.